



Alter  
pop

#15

ISSN 2084-4999 1,23 zł (23% VAT) październik 2013

# Dźwięk:

---

# Obraz:

# Słowo:

**Doładuj telefon i czytaj Alterpopa:**

# doladowania.alterpop.pl

*\* z potwierdzeniem doładowania zawsze otrzymasz link do najnowszego numeru*

**Alter  
pop**  
MAG E-ZINE

numer 15  
październik 2013  
ISSN 2084-4999

**Redaktor naczelny**

Tadeusz Bisewski

**Redakcja**

Kamil Downarowicz  
Karolina Joisan  
Maciej Kaczmarowski  
Ana Matusevic  
Jakub Miłszewski  
Agnieszka Młynarczyk  
Wojciech Onyszków

**Korekta**

Wydawnictwo EKWITA  
www.ekwita.pl

**Wydawca**

Alterpop Media s.c.  
ul. Śląska 35/37  
81-310 Gdynia

**NIE OGARNIASZ  
INTERNETU  
?**

**WYPRÓBUJ NOWE,  
NIEZWYKLE FUNKCJONALNE**

**ALTERPOP.PL**

# PREMIERY

## płytowe

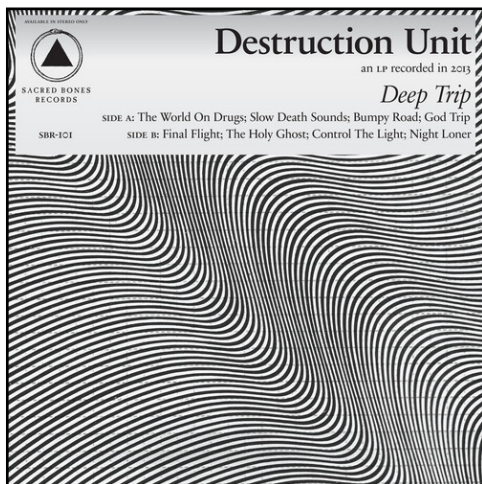
#noise #psychodelia #rock

### Destruction Unit

#### *Deep Trip*

\*\*\*\*\*

Podobno Frank Black powiedział kiedyś, że po wysłuchaniu dobrej rockowej płyty człowiek czuje się tak brudny, że musi wziąć prysznic. Po zapoznaniu się z twórczością Destruction Unit (wyjątkowa adekwatna nazwa) potrzebna będzie długa kąpiel z pumeksem i pastą BHP. Amerykański kwintet rodem z Arizony jest uzbrojony w wykrzykiwane wokale, szybkostrzelne bębny, jadowity bas i aż trzy potężnie przesterowane gitary, co razem składa się nie tyle na ścianę, co olbrzymią falę uderzeniową dźwięku. Przy odpowiednim poziomie głośności dźwięk ów zmiata grzywkę z czoła jak w starej reklamie kaset Maxell. Szósty album grupy to nokaut w ośmiu rundach, w których punkowa furia ściera się noise'owym zgiełkiem i psychodelicznymi wstawkami. Niezależnie od tego, czy zespół pędzi na złamanie karku (***The World On Drugs***), zdejmuje nogę z gazu (***Bumpy Road***) czy miesza tempa (***The Holy Ghost***) – atak na bębrenki uszne jest zawsze tak samo bezkompromi-





sowy. To niewiele ponad pół godziny muzyki, ale jej intensywność rekompensuje krótki czas trwania, choć „rekompensata” nie jest tu najszcześliwszym określeniem.

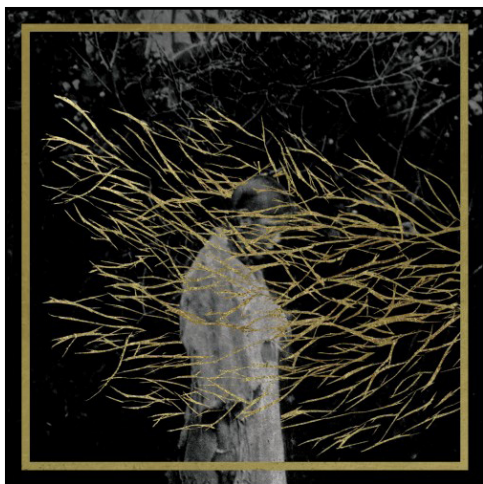
#downtempo #dub #elektronika

## Forests Swords

*Engravings*

\*\*\*\*\*

Po znakomitej EP-ce **Dagger Paths** z 2010 roku przyszedł wreszcie czas na debiutancki longplay Matthewa Barnesa vel Forest Swords. **Engravings** to 50 minut muzyki, która wymyka się gatunkowym podziałom. Szkieletem kompozycji jest zapożyczona z hip hopu, spowolniona rytmika, na której nadbudowano tkankę rozmaitych sampli, melodii i studyjnych efektów. Są tu więc przejmujące orkiestracje (**Onward**), partie minorowych gitar (**Ljoss** i wiele innych), motywy ze spaghetti westernów (**Irby Tremor**) i strzępy widmowych wokali (większość utworów, m.in. **The Weight of Gold** i **An Hour**). Jest też wiele dubowych patentów, które nadają brzmieniu dodatkowej głębi: pogłos, delay i wyraziste linie basu. Album jest należycie tajemniczy, oniryczny i melancholijny. Słychać tu coś z atmosfery nagrań Buriala, poszukiwań Briana Eno i Davida Byrne’a na albumie **My Life in The Bush of Ghosts** (1981) i winylowej sampleriady Demdike Stare, ale to tylko luźne skojarzenia, bo Barnes ma swój własny, rozpoznawalny styl. Kwintesencją tego stylu jest finalny, ośmiominutowy **Friend, You Will Never Learn** – wspaniała, pełna rozmachu kompozycja, która ukazuje pełnię możliwości Anglika. Jedna z najlepszych płyt A.D. 2013.



## Skala ocen:

\*\*\*\*\*  
Space Ritual

\*\*\*\*\*  
Stairway To Heaven

\*\*\*\*\*  
To musi być miłość

\*\*\*\*\*  
Dusza diabłu sprzedana

\*\*\*\*\*  
Nadciągą noc komety

\*\*\*\*\*  
I Can't Get No Satisfaction

\*\*\*\*  
Welcome To The Jungle

\*\*\*  
Ta piosenka powstała dla pieniędzy

\*\*  
Mam tak samo jak ty

\*  
Kim jest człowiek,  
jeśli nie człowiekiem tylko



#ambient #kicz #pop

## Bvdub

### *Born In Tokyo*

\*\*

W ciągu ostatnich sześciu lat Brock Van Wey wydał blisko dwadzieścia płyt jako Bvdub. Ostatnimi czasy liczba tych nagrań zdecydowanie góruje nad jakością. **Born In Tokyo** to nie tyle spadek formy, co spektakularny upadek na skaliste dno własnych możliwości. Banalna okładka i patetyczne tytuły utworów skrywają trywialną, pretensjonalną muzykę, która brzmi, jakby sklecono ją ze znalezionych w internecie sampli – bez cienia autorskiej inwencji i dbałości o efekt końcowy. Rozciągnięte od 11 do 14 minut sztafpowe kompozycje zamiast podążać w obiecujących kierunkach, trwają w bezruchu jak zająć zastygnięty w świetle samochodowych reflektorów. Łączenie ambientu z popem według Van Weya polega na sprzęgnięciu ze sobą rzewnych kobiecych wokaliz, smętnego fortepianu, przedpotopowych pętli perkusyjnych i syntezatorów nieudolnie imitujących instrumenty smyczkowe. Plastik i kicz w najczystszej wydaniu. Jest jednak jeden plus: nie trzeba się specjalnie wysilać, żeby zapomnieć o tej fatalnej płycie – po jej wysłuchaniu nie zostaje w głowie absolutnie nic.

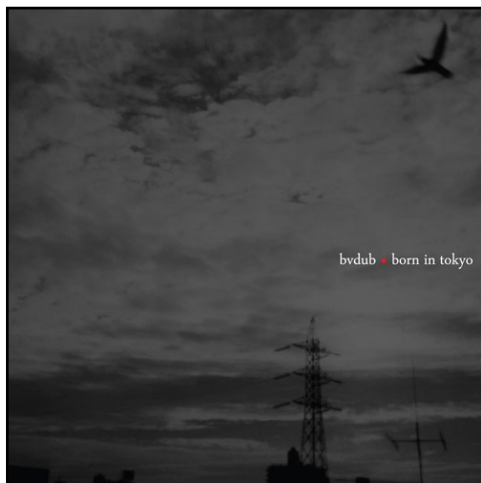
#jazz #minimal #techno

## Dawn of Midi

### *Dysnomia*

\*\*\*\*\*

Niech nikogo nie dziwią powyższe tagi. To nie pomyłka – Dawn of Midi naprawdę grają minimalistyczne techno, tyle że rozpisane na jazzowe in-



strumentarium: fortepian, kontrabas i perkusję. Pomysł, wydawałoby się, karkołomny, lecz w tym szaleństwie jest metoda – pomimo typowej dla techno repetytywności monotonia 9 utworów tworzących **Dysnomię** jest pozorna. Kompozycje rozwijają się w porywające struktury zgodnie ze złotymi zasadami dramaturgii i płynnie przechodzą jedna w drugą, niczym w dobrym didżejskim secie. Tyle że tutaj didżejów jest trzech, a zamiast gramofonów i laptopów mają instrumenty. Mało? Nowojorskie trio o indyjsko-pakistańsko-marokańskich (!) korzeniach nagrało ten album na tak zwaną setkę – każdy utwór został zarejestrowany w jednym podejściu. Rezultat twórczych poszukiwań jest powalający i świadczy o sporej inwencji Dawn of Midi, jednak nietypowe podejście może obrócić się przeciwko zespołowi. Niewykluczone bowiem, że **Dysnomia** okaże się zbyt jazzowa dla fanów techno i zbyt „techniczna” dla miłośników jazzu. Ale chyba też nie do ortodoksów skierowany jest ten album. Fryta jak się patrzy, jakby to ujął Tymon Tymański.

#ambient #elektronika #techno

## Jon Hopkins

### *Immunity*

\*\*\*\*\*

Hopkins dopiero co przekroczył trzydziestkę, a już ma na koncie produkcję płyt dla takich tuzów jak Brian Eno, Herbie Hancock, Massive Attack czy Röyksopp. Zaczynał w wieku dziecięcym od nauki gry na fortepianie, jako nastolatek zainteresował się elektroniką, zaś w wieku lat 19 wydał swój debiutancki album, **Opalescent** (2001). Tegoroczny **Immunity** to już czwarty solowy krążek



Hopkinsa oraz świadectwo jego postępów jako kompozytora i producenta. Płytę można umownie podzielić na dwie części. Pierwsza to odpowiednik klubowej imprezy – dominują na niej taneczne utwory utrzymane w konwencji ambitnego techno, dość wyraźnie inspirowane dokonaniem tria Moderat. Na tle mocnego rytmu snują się partie brudnych syntezatorów, upstrzone klikaniem, trzaskami i szumami. Część drugą można porównać do after party – znalazły się tu eteryczne kawałki o medytacyjnym charakterze i ambientowej proveniencji (fortepian w **Sun Harmonics** to niemal dosłowny cytat z Eno), złożone z przestrzennych padów i nagrań terenowych, takich jak szum wiatru, kapanie wody czy odgłos ludzkiego oddechu. Całość wieńczy niespieszna kompozycja tytułowa z kojącym wokalem King Creosote. Świetny, dojrzały i zróżnicowany album.

**Opracował:** Maciej Kaczmarek

#industrial #elektronika

## Nine Inch Nails

### *Hesitation Marks*

\*\*\*\*

NIN powraca do świata żywych. Niestety. Trent Reznor to może nie jest jeszcze zombie, ale jego muzyka powoli staje się skamieliną. Bądźmy szczerzy, ostatnia dobra płyta projektu Nine Inch Nails, **Fragile**, została nagrana w 1999 roku, czyli przeszło 14 lat temu! Od tego czasu nasz książę ciemności próbował wyczarować coś ze swojego mrocznego kapelusza, jednak z mizernym skutkiem. Nie inaczej jest i tym



razem. Reznor powywalał ze studia gitary i postawił na elektronikę. Niestety są to działania na oślep, bowiem nie idzie za tym nic nowego. Melodie kuleją i nie przekonują, a specyficzne industrialne charczenie generowane przez załogę Reznora nudzi niepomrotnie. **Hesitation Marks** to pozycja tylko dla największych fanatyków grupy, którzy nigdy nic złego na swój ukochany band nie powiedzą.

#rock #indie

## Arctic Monkeys

AM

\*\*\*\*\*

Znam takie osoby, które jednym tchem wymieniają Arktyczne Małpy w TOP 10 najlepszych współczesnych gitarowych zespołów świata. Moim zdaniem sporo w tym przesady, jednak nie można odmówić chłopakom z Sheffield talentu. Musi tak być, skoro sam Josh Homme z Queens Of The Stone Age wziął ich pod swoje skrzydła i pomógł nagrać nowy krążek. Była to zdecydowanie owocna współpraca, bo Arctic Monkeys nagrali swoją najlepszą płytę od czasu debiutu. **AM** to imponujący zbiór rasowych riffów, wypasionych solówek i dzikich sprzężeń. Rozbudowane linie melodyczne odeszły w niepamięć, ustępując miejsca prostemu rockowemu graniu. Odnajdziemy tutaj cytaty z Black Sabbath, The Stone Roses oraz klasyki R&B przełożone na współczesny język. Zespół jest na wznoszącej fali i mam nadzieję, że jeszcze długo się na niej utrzyma.

**Opracował:** *Kamil Downarowicz*



#thrash #heavy metal

## Annihilator

### Feast

\*\*\*\*\*

Pewnie bym się zazięwał przy słuchaniu **Feast**, gdyby nie fakt, że odpowiada mi kierunek, jaki Annihilator obrał jakieś trzy płyty temu. Od tego czasu niewiele się bowiem zmieniło: **Feast** brzmi dokładnie tak samo, jak poprzednie albumy: **Annihilator** i **Metal**. Na dobrą sprawę komuś, kto nie zna twórczości grupy Jeffa Watersa, trudno byłoby nawet wskazać, która z tych płyt jest najnowsza. Brzmienie jest właściwie identyczne, jakby studio otwierane było tylko wtedy, gdy Annihilator chce nagrać kolejny album, a w przerwach między sesjami konsola zabezpieczona była folią i nikt nie mógłby poruszyć choćby jednego suwaka.

Zazięwałbym się bankowo, gdyby jeszcze nie jeden fakt: Jeff Waters, prawdopodobnie najbardziej niedoceniany gitarzysta heavy metalowy na świecie, jest świetnym kompozytorem. To, że jest jednym z najlepszych i najszybszych techników w biznesie, wiemy od dawna. Obie te cechy łączą się w bardzo przyjemny miks starego thrash metalu, klasycznego heavy metalu i zapomnianego speed metalu. Waters zatem potrafi tworzyć takie numery, jak **Smear Campaign**, który przy pierwszym przesłuchaniu brzmi dość naiwnie, ale przy każdym kolejnym nabiera rumieńców. Sęk w tym, że ten, jak i inne numery mogłyby się znaleźć na każdej z poprzednich płyt grupy, ale jeszcze nie jestem pewien, czy to wada, czy zaleta. Dość powiedzieć, że **Feast** słucham od jakiegoś czasu i jeszcze mi się nie nudzi. Można potupać nóżką,





pokiwać główką, czasami się zdziwić, jak coś fajnie zostało zagrane.

Czuję się też w obowiązku wspomnieć o bonusowym krążku, który znalazł się w niektórych wydaniach albumu, a który to zawiera nagrane na nowo największe hity grupy. Ciekawa sprawa, choć wielu fanów przyzwyczyło się do starszych wersji.

#death metal #comeback

## Carcass

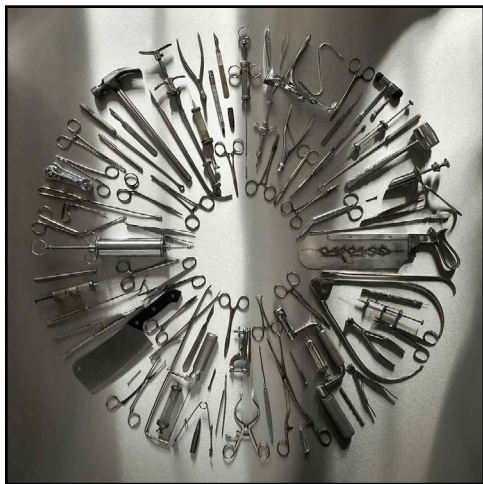
### *Surgical Steel*

\*\*\*\*\*

Istnieje pewna grupa zespołów, które na scenie metalowej cieszą się wielką estymą, a które to pewnego dnia się rozpadły, by następnie się zreaktywować, ale jedynie dla działalności koncertowej. Brytyjski Carcass należał do tej właśnie grupy, ale wyłamał się we wrześnie. ***Surgical Steel***, długo oczekiwany nowy album grupy, prezentuje poziom, rzekłbym, adekwatny. Czyli wysoki. Od zespołu, który przez prawie 30 lat istnienia stanowił czołówkę sceny death metalowej, oczekiwałem płyty świeżej, ale dla niego charakterystycznej. Dostałem, com chciał.

Sam tytuł krążka sugeruje, że wróciło stare, dobre Carcass. Muzyka przeszła natomiast małą ewolucję. Carcass AD 2013 gra nowocześnie, energicznie i melodyjnie, a przy tym paskudnie, obleśnie i przerażająco – jak na tę stylistykę muzyczną przystało. Jednym słowem, album ***Surgical Steel*** jest solidną kontynuacją znienawidzonych przez niektórych, a kochanych przez innych płyt ***Heartwork*** i ***Swansong***.

Stylistycznie ***Surgical Steel*** jest bardzo bogaty – jest tu stary thrash, jest sporo melodii, krew i flaki w tekstach, a całość nowoczesna i bardzo death metalowa.



Szczególne słowa uznania należą się Jeffowi Walkerowi, wokaliście i baciście zespołu. Facet, który uchodzi za jednego z najlepszych frontmanów na scenie (choć potrafi na koncercie nie wypowiedzieć ani słowa), nie może dać plamy w studio. Walker nie dał. Głównie dzięki niemu ta płyta jest tak pięknie paskudna.

#viking #folk #metal

## Tyr

### Valkyrja

\*\*\*\*\*

Tyr (grupa pochodząca z Wysp Owczych, co jest chyba warte odnotowania) to metal tych mniej rządnych krwi Wikinów. Tamci słuchają Amon Amarth. Tyr przemówi zatem raczej do bardziej pokojowo nastawionych miłośników gatunku. Dlaczego? Bo grupa gra niesamowicie melodyjnie, przy czym melodie owe wcale nie brzmią jak wezwanie do boju. Heri Joensen śpiewa czyściutko, nawet nie zachrypnie, choć najlepszym od strony technicznej wokalistą nie jest. Ale nie musi być, bo nadrabia świetnie przygotowanymi partiami, jak choćby we wpadającym w ucho i obłądnie melodyjnym **Mare of My Night**.

Nie zrozumcie mnie źle, **Valkyrja** to nie jest jakieś poprockowe pitu-pitu. To mocny gitarowo-perkusyjny cios. Tyr jednak pokazuje, że funkcjonując w dość ściśle określonych granicach bardzo charakterystycznej stylistyki, można się dodatkowo wyróżnić. Zaryzykowałbym nawet stwierdzenie, że w muzyce grupy prześwituje gdzieś melodyka charakterystyczna dla Irlandii, w końcu z Wysp Brytyjskich na Wyspy Owcze bliżej niż ze Skandynawii. A to tylko dodatkowy rumieniec na obliczu tej muzyki. Krótko mówiąc: polecam.

**Opracował:** Jakub Milszewski





# Retro *style*

Moda na **vintage** w muzyce pop rozkręcała się nieśpiesznie, wręcz leniwie i do pewnego czasu była ciągiem luźno powiązanych ze sobą zjawisk. Dopiero pojawienie się **Lany Del Rey** wyznaczyło wyraźne ramy gatunkowe, stanowiące punkt odniesienia zarówno dla artystów wdających się w romans z minioną epoką, jak i odbiorców poszukujących wyrazistego, kompletnego i przekonującego stylu, z którym mogliby się utożsamić.

Zanim Lana została okrzyknięta królową retro i w swoich stylizowanych na lata 50. kreacjach wspierała się zgrabnie na szczyty list przebojów oraz czołów-

ki magazynów modowych, pojawiło się kilka artystek, które nieświadomie przetarły dla niej szlak. Retro Look wprowadziła do wyobraźni współcze-



**Lana Del Rey**





## Gwen Stefani

snego masowego widza MTV, Gwen Stefani. Platynowe blond loki, kobiece fasony z początku XX wieku połączone z drapieżnym makijażem i żywą ekspresją dawały ciekawy i intrygujący efekt.

Styl ten ograniczał się jednak tylko do fizjonomii piosenkarki – ciężko odnaleźć w jej kompozycjach jakiegokolwiek elementu wzorowanego na dźwiękach z minionych lat.

Klasyczny jazz i soul stanowiły z kolei wyraźny punkt odniesienia dla Amy Winehouse. Była ona wyjątkowo barwnym ptakiem świata muzyki. Natapirowane włosy, grube kreski i oryginalne sukienki. Nie sposób o nich zapomnieć. To była istna rewolucja w showbiznesie i w świecie mody. Charyzmatyczna brunetka, w otoczeniu ciemnoskórych muzyków przenosiła słuchaczy do dusznych klubów Nowego Orleanu sprzed kilku dobrych dekad. Co prawda, artystka opierała się na już niegdyś wyeksploatowanych brzmieniach, ale potrafiła je perfekcyjnie połączyć z modnym R’N’B i refleksyjnym, nowym wcieleniem soulu. Jej dość ekstremalny sposób życia, oparty



## Amy Winehouse



w głównej mierze na alkoholu i narkotykach, jednocześnie fascynował i odstraszał. Stąd – może i na szczęście – nie mieliśmy (poza paroma wyjątkami) jej wiernych naśladowczyń. Hardcorowa pin-up girl to nie do końca bohaterka, którą chcą zostać dziewczyny śledzące trendy z magazynów life-stylowych i blogów z modą.

Niejakim przeciwieństwem Whinehouse okazały się dwie artystki, które reanimowały bardziej przystępną modę na eleganckie wcielenie lat 50., 60., i 70. To, co wydawało się być zamkniętym już epizodem, zostało przywrócone do życia w pełnej krasie. Pierwsza z nich – Duffy – trafiła do słuchaczy zmęczonych elektroniczną muzyką i poszukujących bardziej organicznego grania. Mówi się, trochę z przesadą, że Walijka wygląda jak Brigitte Bardot, a śpiewa jak Janis Joplin. W ubiorze stawia na absolutną klasykę, nawiązując do ultrakobiecej mody lat 60. Jednak od strony muzycznej nie można doszukać się już takiej wyrazistości. Utwory Duffy to raczej miałki pop, pozbawiony polotu i „tego czegoś”, co decyduje o sukcesie. Dlatego pewnie coraz mniej się o piosenkarkę mówi.

Na topie nadal pozostaje za to Adele, która od początku swojej kariery zachwyciła miliony nie tylko charakterystycznym głosem, ale także spójnym, przemyślanym wizerunkiem scenicznym oraz urzekającą charyzmą. Adele stawia na klasykę i prostotę, zarówno w swojej muzyce, jak i wyglądzie. Najbardziej charakterystyczny element jej wizerunku stanowi utapirowana, wysoka fryzura. Wyszczupla ona jej twarz oraz figurę, która znacznie odbiega od promowanych przez kulturę masową kanonów piękna. Zawsze



**Adele**



**Duffy**

wygląda elegancko i z klasą. Podbiła serca szerokiej publiczności odwagą i wyczuciem stylu – jednoznacznie kojarzącego się z vintage. Przez krytyków jej muzyka określana jest jako odrębny

gatunek muzyczny – heartbroken soul, ale nie sposób rozmawiać o twórczości Amerykanki bez odwołania do tego, co działo się w muzyce rozrywkowej w latach 50. XX wieku. Pop Adele przepełniony jest nostalgią i melancholią – na tych samych fundamentach swój żywy pomnik wzniosła Lana Del Rey.

Tylko właściwie po co nam ten cały styl retro? Czy artyści naprawdę nie mają już nic nowego do powiedzenia i czeka nas już tylko postmodernistyczna żonglerka gatunkami i stylami, sięgająca coraz głębiej w przeszłość? Skąd fenomen Lany Del Rey? Odpowiedź wydaje się brzmieć następująco. Ociekające seksem i wulgarne w swoim imagu piosenkarki typu Rihanny czy Nicki Minaj nie trafiają w gusta pochodzących z rodzin klasy średniej, młodych osób, które mają nieco większe ambicje, niż pójście na imprezę i upicie się. Lana jest subtelna, tajemnicza, elegancka, zdystansowana i chłodna. Na klimatycznych teledyskach widzimy ją w przestronnych pomieszczeniach, kojarzących się jednoznacznie z wyż-

szą klasą społeczną – czyli tym, o czym zaczynają marzyć młodzi ludzie, rozpoczynający karierę w korporacjach. To także tęsknota za minioną epoką, kiedy świat elit i świat pracy był od siebie szczelnie odgradzony. Do dzisiaj utrzymują się mity na temat życia dawnych bogaczy, o czym przypomina nam sukces filmu **Wielki Gatsby**. Jest to życie wypełnione magią, gdzie sny o szczęściu i sukcesie spełniają się. Jest to w końcu życie dystyngowane, „na poziomie”. Te wszystkie cechy możemy przenieść na cały styl retro.

Niski głos, przykuwające uwagę rzęsy i pełne, zmysłowe usta. Lana Del Rey jest perfekcyjnie wystylizowana na dziewczynę z sąsiedztwa, której udało się uciec z małego miasteczka i zrobić wielką karierę. To przeżywanie na jawie sen o dawnej Ameryce, w której wszystko mogło się zdarzyć i każdy mógł zostać gwiazdą. Zresztą cały zachodni świat był wtedy bardziej stabilny, przewidywalny i bezpieczny dla młodych ludzi. Czy nie o takim właśnie miejscu marzą trochę dwudziestolatkowie okupujący Wall Street oraz greckie i hiszpańskie ulice?

Czy styl retro w muzyce to tylko chwilowa moda, czy może pozostanie on już stałym składnikiem popu? Wydaje się, że vintage ma w sobie spory potencjał kulturowy, nasiąknięty tak wieloma emocjami, że jeszcze na długo pozostanie z nami. Być może na szczycie nie będzie za parę lat Lany i Adele, ale na ich miejsce zjawiają się nowe artystki, rywalizujące ze sobą o miano królowej retro.



Lana Del Rey

Kamil Downarowicz



# 10 osobliwych płyt

Niedoceniane, nierozumiane, kontrowersyjne, nagrywane w niezwykłych okolicznościach... Oto subiektywna lista 10 muzycznych dziwadeł.

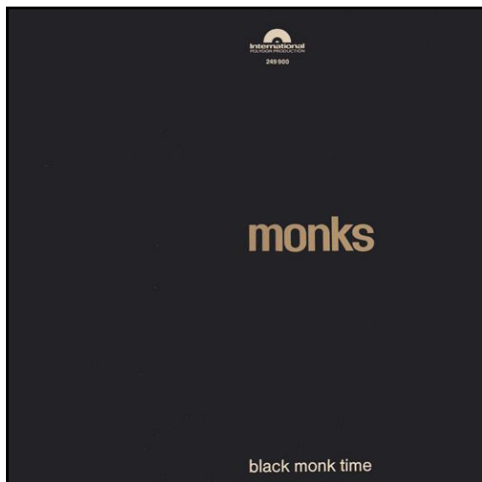
1966

## The Monks

### *Black Monk Time*

1

Na początku lat 60. w amerykańskiej bazie wojskowej w Niemczech pięciu żołnierzy założyło zespół The Five Torguays. Zaczynali od grania coverów Elvisa Presleya i Chucka Berry'ego, ale potem spotkali dwóch szalonych konceptualistów, którzy kazali im ogolić czubki głów, przyodziać habity, ochrzcić się Mnichami i zmienić repertuar. Podstawą nowego brzmienia było sprzężenie zwrotne, które generowało potężną ścianę hałaśliwego dźwięku, co w połączeniu z kontrowersyjnym wizerunkiem i wykrzykiwanymi przez wokalistę tekstami w rodzaju ***Shut up, don't cry*** czy ***I hate you*** sprawiało, że na koncertach publika była, delikatnie mówiąc, zmieszana. Jednak dzięki staraniom menedżerów The Monks podpisali kontrakt z wytwórnią Polydor i wkrótce weszli do studia, by zarejestrować swój pierwszy – i jak się okazało ostatni – album. Zapakowana w czarną okładkę płyta **Black**



**Monks**

*I hate you*



**Monk Time** ukazała się w 1966 roku. Jej szorstka, agresywna i obrazoburcza zawartość wyprzedziła swoje czasy co najmniej o dekadę, antycypując krautrock i nurt punkowy. Wówczas jednak nikt się na tym nie poznał – album sprzedawał się fatalnie, a już rok później zespół przestał istnieć. Trzydzieści lat później okazało się, że muzyka The Monks stanowi inspirację dla całych rzesz artystów, m.in. Faust, Black Flag, Beastie Boys i Radiohead. **Black Monk Time** do dziś robi wielkie wrażenie. O samym zespole pisaliśmy szerzej w 12. numerze Alterpopu.

1969

## Captain Beefheart

### *Trout Mask Replica*

Don Van Vliet był dobrym znajomym Franka Zappy, z którym dzielił nie tylko poczucie humoru, ale i słabość do muzycznych eksperymentów. Przyjawszy pseudonim Captain Beefheart (zapożyczony ponoć od wujka artysty, który określał tym mianem swoje przyrodzenie), zgromadził grupę muzyków pod nazwą The Magic Band i rozpoczął karierę muzyczną. Dwa pierwsze albumy – **Safe As Milk** (1967) i **Strictly Personal** (1968) – zawierały dość standardową wersję bluesa, choć momentami zdradzały zamiłowanie lidera do kombinowania. Awangarda na dobre zdominowała oblicze Kapitana i jego bandu na trzeciej płycie, zatytułowanej adekwatnie **Trout Mask Replica** („Kopia maski pstrąga”). W celu jego nagrania Van Vliet zamknął się z zespołem w małym domku na przedmieściach Los Angeles, gdzie – aby całkowicie zdominować muzyków – terroryzował ich psychicznie, emocjonalnie, a niekie-

2



## Captain Beefheart

*Pachuco cadaver*





dy nawet fizycznie. Pozbawieni stałych źródeł utrzymania artyści nie mogli opuszczać domu, byli zmuszeni grać nawet przez 14 godzin na dobę i żywili się głównie soją. Stworzony w takich warunkach album po prostu musiał być dziwaczny. Powstała niebywała, pozornie chaotyczna mieszanka bluesa, jazzu, muzyki folkowej, awangardy, szantów, gospel i wyśpiewywanych falsetem tekstów o seksie, polityce i Holokauście. Album stanowi też wczesny przykład samplingu, który wówczas polegał na ręcznym cięciu taśm i sklejanu ich w nowej kolejności, co w pewnym sensie tłumaczy gwałtowne zmiany nastrojów i konwencji. Dziś **Trout Mask Replica** zgodnie określa się mianem arcydzieła i jednej z najważniejszych płyt wszech czasów.

1975

**Lou Reed**

*Metal Machine Music*

Piąta solowa płyta byłego lidera The Velvet Underground musiała być zaskoczeniem nawet dla najbardziej bezkrytycznych i zagorzałych fanów artysty. Do dziś nie ustają spory, czy **Metal Machine Music** to nietypowy żart, przekorny wynik zobowiązań kontraktowych czy odważny eksperyment. Na ponad godzinną zawartość dwupłykowego (w wersji winylowej) albumu składają się potraktowane pogłosem dźwięki gitarowych sprzężeń w różnych tempach. Żadnych piosenek w standardowym znaczeniu tego słowa, żadnych melodii, żadnych rozpoznawalnych struktur ani stałych rytmów, o tekstach nie wspominając. Główną inspiracją artysty była tak zwana drone music popełniona przez La Monte Younga

3



**Lou Reed**

*Metal Machine Music, part 1*



w ramach grupy Theater of Eternal Music oraz... **Symfonia nr 3 Es-dur** Beethovena. W dołączonej książeczce Reed oświadczył, że wymyślił heavy metal i że **Metal Machine Music** jest ostateczną egzemplifikacją tego gatunku. Płyta została wręcz zmiażdżona przez krytykę, ale z biegiem lat zaczęto dostrzegać jej wpływ na takie stylistyki jak punk, industrial i noise. Sam Reed miał ponoć wyznać: „Każdy, kto dobrnął do czwartej strony, jest głupszy niż ja”.

1977

## Suicide

*Suicide*

4

Ten album był całkowicie osobnym zjawiskiem, kiedy wyszedł, ale nawet dziś, 36 lat po premierze, nie stracił nic ze swojej siły. Założony przez Alana Vegę i Martina Reva projekt był pierwszym wokarno-syntezatorowym duetem, z jednej strony uprzedzającym synth-pop, z drugiej zaś – choć nie używali gitar – wpisującym się w punkowe ramy. Na zimną, ascetyczną muzykę Suicide składał się maniackalny, opętany wokół Vegi oraz mroczne, szorstkie podkłady generowane przez Reva na analogowych syntezatorach, podbijane rytmem prymitywnego automatu perkusyjnego. Bezradni krytycy próbowali nazywać to elektroniczną wersją rockabilly, ale Rev ukrócił wszelkie porównania: „To brzmienie jest jak odcisk palca, całkowicie moje, własne. To wypływa z całej wielkiej serii zbiegów wydarzeń i wypadków. Również z genów, zewsząd”. Centralnym utworem na debiutanckim albumie grupy był dziesięciominutowy **Frankie Teardrop**, mrozące krew w żyłach studium



**Suicide**

*Frankie Teardrop*

alienacji i szaleństwa, w którym na tle pulsującego, hipnotycznego podkładu Vega – szepcząc i wrzeszcząc wniebogłosy – snuje historię zwolnionego z pracy nieszczęśnika, który popada w obłąd i morduje własną rodzinę, a potem popełnia samobójstwo. Nawet biorąc pod uwagę punkową rewoltę, która toczyła się wówczas po świecie od dwóch lat, takie treści były kontrowersyjne. Nic zatem dziwnego, że Suicide wywoływali skrajne emocje. Po latach okazało się, że wywarli spory wpływ na innych twórców, m.in. Soft Cell, Depeche Mode, Nine Inch Nails i The Kills.

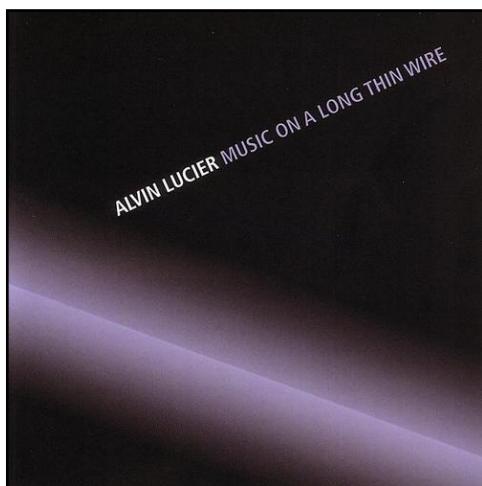
1980

## **Alvin Lucier**

### *Music On A Long Thin Wire*

W 1977 roku awangardowy kompozytor Alvin Lucier i fizyk John Trefny skonstruowali współczesną wersję pitagorejskiego monochordu – instrumentu muzycznego wyposażonego w pudło rezonansowe i jedną strunę. Lucier stwierdził, że zasadę działania monochordu można wykorzystać w większej skali. Przeciągnął więc kawał długiego, stalowego drutu przez wielką salę, a następnie podłączył go do wzmacniaczy, oscylatorów, magnesów i mikrofonów. Dźwięki powstawały dzięki pracy oscylatorów, ale wszelkie wariacje były skutkiem działania prądów powietrza, temperatury otoczenia, subtelnych wibracji ludzkiego ruchu i wszelkich innych czynników, które wchodziły w interakcję z tym nietypowym urządzeniem. Efekt jest zaskakująco relaksujący i medytacyjny.

5



## **Alvin Lucier**

### *Music On A Long Thin Wire*



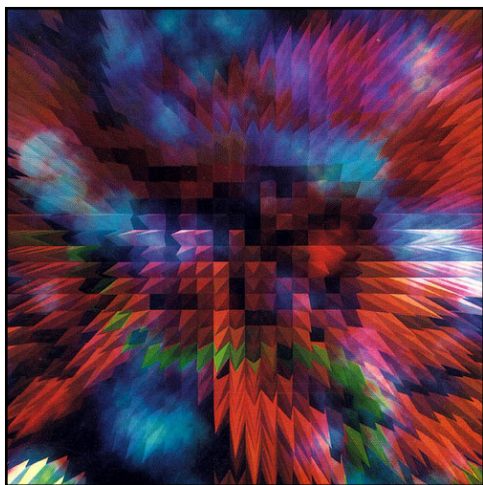
1995

## ELpH vs. Coil

### *Worship The Glitch*

Założyciele duetu Coil – Peter Christopher i John Balance, obaj niestety już nieżyjący – byli znani z fascynacji okultyzmem, zdeklarowanego homoseksualizmu i przede wszystkim z wymykającej się klasyfikacjom muzyki. Interesowali się wszelkimi technikami komponowania, nagrywania i obróbki muzyki. Używali też niecodziennych instrumentów: syntezatorów modularnych, legendarnego syntezatora ANS czy domowej roboty samplerów. Swego rodzaju „instrumentem” był też ELpH. Panowie określali tym słowem swój sprzęt studyjny, traktując go jako kolejnego członka zespołu. Dźwięki ELpH powstawały w wyniku improwizacji, błędu i pomyłki, gdy aparatura wymykała się spod kontroli. Wydana pod szyldem ElpH vs. Coil płyta ***Worship The Glitch*** stanowi jeden z najbardziej bezkompromisowych albumów nie tylko w twórczości projektu, ale i w muzyce w ogóle. Nie ma tu piosenek w tradycyjnym tego słowa znaczeniu – zastąpiły je formalne eksperymenty (konia z rzędem temu, kto w utworze ***Mono*** rozpozna przeróbkę ***Bang Bang*** Nancy Sinatry). Język całkowicie zawodzi przy próbie ich opisanie i jakkolwiek banalnie to zabrzmie, tego trzeba po prostu posłuchać samemu. Połączenie mocno zniekształconych dźwięków z atmosferą nie z tego świata przyniosło efekt tyleż intrygujący, co przerażający. Tutaj nawet trel ptaków brzmiał złowieszczo. To jeden z tych albumów, które powodują, że człowiek słuchając ich w ciemnym pokoju, co chwilę odwraca głowę, żeby upewnić się, że jest sam.

6



**ELpH vs. Coil**

*Mono*

1997

## John Frusciante

### *Smile From The Streets You Hold*

W 1992 roku Frusciante opuścił szeregi Red Hot Chili Peppers i pogрузił się w narkotykowym nałogu. Przekonany, że nie potrafi już komponować ani grać na gitarze, szybko wpadł w głęboką depresję. Humor poprawiał sobie malowaniem obrazów, pisaniem opowiadań oraz kolejnymi strzałami heroiny i kokainy. „Było mi bardzo smutno, a kiedy brałem dragi, byłem szczęśliwy, więc pomyślałem, że powinienem być naćpany przez cały czas. Nigdy nie czułem się winny, byłem dumny, że byłem uzależniony” – wspominał później. W tym czasie udało mu się wydać płytę nagrałą jeszcze przed popadnięciem w nałóg, **Niandra Lades and Usually Just a T-Shirt** (1994). Przez kolejne trzy lata Frusciante, opisany przez „New Times LA” jako „obleczony w skórę szkielet”, mieszkał samotnie w zaniedbanym, pokrytym graffiti domu w Hollywood, który później spłonął (w Internecie można obejrzeć nakręcony przez Johnnynego Deppa i Gibby’ego Haynesa krótki film dokumentalny o tym przedziwnym miejscu z czasów, kiedy żył tam Frusciante). Żeby mieć pieniądze na narkotyki, nagrał drugi solowy album, **Smiles From The Streets You Hold** (1997). Jego zawartość to niezwykle i w zasadzie bardzo smutne świadectwo nieodwracalnych zmian w mózgu spowodowanych przez lata faszzerowania się chemią. Przez blisko godzinę fałszujący, wrzeszczący i kaszlący Frusciante nieskładnie brzdęka na gitarze w sposób, który nie kojarzy się z mianem wirtuoza gitary, jakim go wcześniej ochrzczono. „Drugs are bad, mmmkay?”

7



**John Frusciante**

*Enter A Uh*





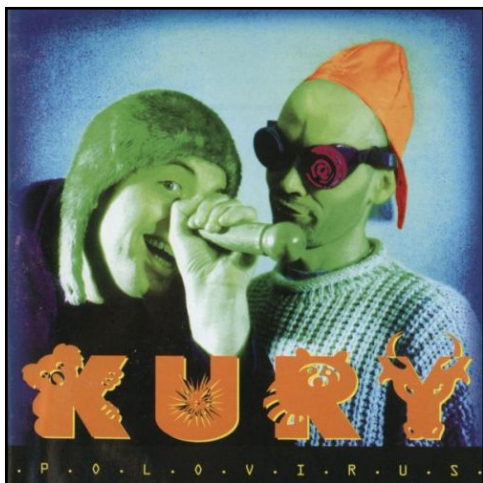
1998

**Kury**

P.O.L.O.V.I.R.U.S.

8

Po wywróceniu jazzu na lewą stronę i przeobrażeniu go w yass w połowie lat 90., Tymon Tymański powrócił do pomysłu nagrania „najgłupszej płyty na świecie”. Początkowo myślał o „składance”, na której znalazłyby się utwory wymyślonych przez niego nieznanych zespołów discopolowych o nazwach typu Księgowi. Ostatecznie jednak postanowił firmować całość nazwą projektu Kury, który tworzył z gitarzystą Piotrem Pawlakiem i perkusistą Jackiem Olterem (tragicznie zmarłym w 2001 roku). Na **P.O.L.O.V.I.R.U.S.-ie** można też usłyszeć m.in. Mazzolla, Leszka Moźdzera, Tomasz Gwincińskiego i Olafa Deriglasoffa, ale nie ulega wątpliwości, że mózgiem całego przedsięwzięcia był Tymon, który zakpił dosłownie ze wszystkiego, w warstwie tekstowej stawiając na zgrywę i prowokację, w instrumentalnej zaś kładąc nacisk na śmiałość, wręcz wirtuozerską żonglerkę gatunkami. W ten sposób dostało się kapelom disco polo (**Śmierdzi mi z ust, Jesienna deprecha**), autorom kojarzonym z poezją śpiewaną (**Dlaczego**), kibolom (**Kibolski**), esbekom (**Adam ma dobry Humer**) i jednocześnie opozycjonistom (**Idealy Sierpnia**), twórcom reggae (**Nie mam jaj**), kapelom a'la IRA (**Szatan**), metalowcom (**Tryglaw**), a nawet miłośnikom country (**O psie**) i jazzu (**Mój dżez**). Utwory zostały dodatkowo poprządkane przezabawnymi fragmentami dialogów Tymańskiego i kolegów o koszykówce („Nie wiem czy wiecie, ale jeden z nich nogi nie ma i ukrywa to cały czas i kurwa skacze normalnie jak... jak zapyziały”). To jedna



**Kury**

*Jesienna Deprecha*

z najlepszych i najbardziej zróżnicowanych polskich płyt wszech czasów. I jedna z najśmieszniejszych.

1999

## Fiona Apple

### *When The Pawn...*

9  
Drugi album amerykańskiej piosenkarki zawiera muzykę wprawdzie charakterystyczną, ale mimo wszystko mieszczącą się w przedziale konwencjonalnego songwritingu. Skąd więc jego obecność na liście osobliwości? Powodem jest szalenie długi tytuł (444 znaki ze spacjami), będący jednocześnie wierszem autorstwa artystki: ***When the Pawn Hits the Conflicts He Thinks like a King What He Knows Throws the Blows When He Goes to the Fight and He'll Win the Whole Thing 'fore He Enters the Ring There's No Body to Batter When Your Mind Is Your Might So When You Go Solo, You Hold Your Own Hand and Remember That Depth Is the Greatest of Heights and If You Know Where You Stand, Then You Know Where to Land and If You Fall It Won't Matter, Cuz You'll Know That You're Right.*** Później rekord długości tytułu został pobity przez Soulwax (552 znaki) i Chumbawamba (865 znaków), ale Apple była pierwsza, która na to wpadła.

2006

## Otto Von Schirach

### *Pukology*

10  
Wydany w 666 egzemplarzach album, którego zawartość została w całości skomponowana z nadesłanych przez fanów odgłosów wymiotowania. Czy trzeba dodawać coś więcej?

**Opracował:** Maciej Kaczmarski



## Fiona Apple

### *On The Bound*



## Otto Von Schirach

### *Spasmic Pukeapella*

# Metalowy teatr

Cokolwiek się dzieje na scenie, jest elementem show. Bywalcy koncertów najlepiej wiedzą, że przygotowywanie sceny do występu, strojenie instrumentów i testowanie głośników przed koncertem stanowi swojego rodzaju rytuał. A kiedy już zaczyna się koncert, wykonawcom zależy na wytworzeniu odpowiedniego klimatu dla swojej muzyki. Dlatego też filharmonicy występują w eleganckich frakach, piosenkarki pop w kusych i błyszczących kostiumach, a muzycy zespołów black metalowych stosują tzw. **corpsepainting**.

„Zakładamy maski i utajniamy naszą tożsamość, bo nie chcemy, żeby przesłoniła ona przekaz naszej muzyki” – mówił w 1999 roku Corey Taylor, wokalista grupy Slipknot. Łyknięliście to?



**Alice Cooper**

Pod koniec lat 60. muzyków rockowych, szczególnie w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, było już całe mnóstwo. Zapotrzebowanie na tego typu rozrywkę szybko rosło, toteż bardzo wielu wykonawców miało w tym czasie swoje 5 minut. Jednocześnie trudno było się z tłumu wyróżnić. Na oryginalny pomysł wpadł wtedy niejaki Vincent Damon Furnier, niegdysiejsza niania Keanu Reevesa. Przyjął sceniczny pseudonim Alice Cooper i bodaj jako pierwszy zaczął występować w mocnym, czarno-białym makijażu, który nawiązywał po pierwsze do scenografii Coopera, która składała się m.in. z narzędzi tortur, po drugie zaś do filmu **Gabinet doktora Caligari**. Mówiąc wprost: Cooper na scenie chciał być blady jak trup i mieć czarne, puste oczodoły. Jak trup. Stąd już niedaleko do dzisiejszego **corpse-**

**paintingu**, który z upodobaniem stosują black metalowe zespoły z całego świata.

9 marca 1973 roku podczas koncertu w klubie The Daisy w Amityville grupa Kiss po raz pierwszy pojawiła się na scenie w makijażu. W połączeniu ze strojami, a także – w późniejszym czasie – z oryginalnym designem instrumentów oraz sporą ilością pirotechniki, do dzisiaj robi to ogromne wrażenie. Do ikon popkultury dołączył wizerunek basisty Gene'a Simmons'a z czarnymi gwiazdami namalowanymi wokół oczu i długim jęzorem wysuniętym w stronę publiczności. Sam muzyk pytany o to, skąd wziął się pomysł na stosowanie pełnego makijażu na scenie, odpowiada, że jest to typowo amerykańskie. A wzór swojego makijażu oparł na wyglądzie komiksowej postaci Black Bolt z lat 60.

O amerykańskości do pewnego stopnia może też mówić facet, który tradycję malowania się przed wyjściem na scenę przeniósł do Europy. Kim Bendix Petersen, duński farmaceuta znany bardziej jako King Diamond. Pod koniec lat 70. Diamond, wtedy jeszcze nikomu nieznany muzyk, wybrał się na koncert Alice'a Coopera. Show zrobiło na Duńczyku ogromne wrażenie. Postanowił w swojej działalności również zastosować rozbudowane teatralia, łącznie z kostiumami i makijażem. W pełni swoje pomysły udało mu się zrealizować dopiero kilka lat później, kiedy dołączył do formacji Mercyful Fate. W trakcie kariery Diamond udoskonalił i urozmaicił swój image, sprawiając, że z czasem stał się on jeszcze bardziej kontrowersyjny. Podczas tras koncertowych pro-



Kiss



King Diamond





**Slipknot**



**Gwar**

mujących album ***Conspiracy*** wokalista pomalowany był w sprawiający wrażenie bezładnego wzór czarnych linii uzupełnionych czerwonymi, imitującymi krew sączącą się z ran na twarzy (zdjęcie Diamonda z tym imagem zdobi również okładkę albumu). Z kolei od czasu albumu ***The Puppet Mater*** wokalista maluje na białej twarzy kilkanaście czarnych odwróconych krzyży, co po raz kolejny zwróciło na niego uwagę środowisk katolickich. Sam muzyk był przez to wielokrotnie oskarżany o satanizm. Miał też problemy w Stanach Zjednoczonych, kiedy to w połowie lat 80. o plagiat makijażu oskarżył go nie kto inny, jak Gene Simmons.

Malowanie się w trupa zaczęło powszednieć wraz z rozwojem skandy-nawskiej sceny heavy metalowej. Powstające jak grzyby po deszczu zespoły black metalowe, którym często zależało na image'u bardziej niż na jakości muzyki, stosowały go powszechnie. W tej formie ***corpsepainting*** przetrwał w zasadzie do dziś w formie nieziennej, choć pozbawiona kontekstu w postaci odpowiedniego kostiumu oraz scenografii bardziej śmieszy niż przeraża.

Począwszy od Alice'a Coopera, skończywszy na polskim Behemocie – wszyscy ci wykonawcy malują się, by dodać swoim koncertom elementu „demoniczności”. Są jednak też tacy, którzy poszli w swoich teatraliach w drugą stronę – komedii. Czarnej, ale jednak.

Najbardziej znanym zespołem, który poszedł w tę stronę, jest Slipknot. Image tej grupy jest jednak rozwinięciem tego, co robią muzycy z amerykańskiego thrash metalowego zespołu



Gwar. Grupa aktywna jest od połowy lat 80., a jej wizerunek od początku dobrze pasował do tworzonej przez nich muzyki, co trochę dziwiło krytyków na początku ich kariery (podczas gdy inne zespoły thrash metalowe, jak choćby Metallica czy Slayer, stawiały na bardziej naturalny wygląd). Gwar zrobił ze swoich koncertów satyryczno-polityczne happeningi. Muzycy wychodzą na scenę poprzebierani w imponujące kostiumy, uszyte specjalnie dla nich i wyposażone w pełną maszynę do efektów specjalnych (oczywiście na początku kariery były to proste przebrania wykonane ze starych szmat i pianki). Stroje członków Gwar przypominają bardziej wymyślne potwory z cyklu **Power Rangers**. Warto też odnotować, że wyprzedzili oni Lady Gagę, która zszokowała międzynarodową opinię publiczną, przebierając się w kostium zrobiony z surowego mięsa. Drodzy państwo, to już było. Komiksowy image Gwar uzupełnia to wszystko, co się dzieje na scenie: Osama bin Laden zrzucający w publiczność styropianowe bomby, rozrywana na kawałki Paris Hilton oraz przyglądający się temu Nazi Papież i Jezus Hitler.

Przez swój kontrowersyjny image kłopoty ze środowiskami katolickimi (szczególnie w Polsce) ma również Marilyn Manson. Upiekło się natomiast muzykom szwedzkiego zespołu Ghost, który jest uznawany za objawienie niezależnej rockowej sceny ostatnich lat. Grupa składa się z pięciu tzw. Beziemiennych Ghouli, którzy towarzyszą wokaliście, a ten to z kolei odrębna historia. Ghost swój fonograficzny debiut zaliczył w 2010 roku. Do 2012

roku rolę wokalisty pełnił w grupie muzyk o pseudonimie Papa Emeritus. Na koncercie zapowiadającym wydanie nowego albumu zastąpił go symbolicznie Papa Emeritus II (zmiana nastąpiła na około dwa miesiące przed ogłoszeniem planów przejścia na emeryturę przez papieża Benedykta XVI – zespół zatem w zaskakujący sposób przewidywał wydarzenie w Watykanie). I tu niespodzianka: wokalista się nie zmienił, lekko zmienił się jedynie jego wizerunek. Zmianie uległa przede wszystkim kolorystyka – pierwotnie muzyk nosił białą sutannę, po symbolicznej zmianie jest ubrany w czarną, uzupełnioną czerwonymi elementami. Na jego twarzy zaś znalazła się winylowa maska z lekko zmodyfikowanym wzorem, wciąż jednak przedstawiającym ludzką czaszkę. Zarówno jako Papa Emeritus, jak i jako Papa Emeritus II wokalista (którego tożsamość nie została ujawniona)



**Ghost**



niona) przebrany jest w papieską szatę z odwróconymi symbolami krzyża. Na dodatek stosuje na scenie rekwizyty kojarzone z kościołem katolickim, jak choćby kadzidła. Ghoule występują z kolei w długich habitach oraz w nałożonych kapturach, które zasłaniają ich twarze.

Heavymetalowych wykonawców, którzy korzystają z makijażu lub kostiumów, przyjmują sceniczne pseudonimy i próbują utajnić swoją tożsamość, jest wielu, więc warto zastanowić się nad znaczeniem i prawdziwym celem tych zabiegów. Czy jak mówił Corey Taylor, chodzi o skupienie uwagi na przekazie? Czy może wręcz przeciwnie – na skupieniu uwagi na zespole w ogóle i wyróżnieniu się z tłumu? Istnieje jeszcze jedna teoria, zakładająca,

że osoba wychodząca na scenę lub stojąca naprzeciw publiczności mimowolnie przybiera pozę, czyli gra. W zależności od granej postaci stosuje różne gadżety, przebrania i maski. Dzięki temu – uwaga – łatwiej jest być sobą poza sceną. Działa to też w drugą stronę – będąc kim innym na scenie, łatwiej jest głosić z niej poglądy sprzeczne z naszymi własnymi. Być może wyjaśnia to swojego rodzaju fenomen liczby katolików w szeregach grup muzycznych postrzeganych jako satanistyczne.

*Jakub Milszewski*



**Ghost**



# PREMIERY *filmowe*

#obyczajowy #dramat #thriller

reż. **Asghar Farhadi**

*Przeszłość*

\*\*\*\*\*

Irański reżyser, Asghar Farhadi, ma smykałkę do tworzenia pozornie prostych historii, które uderzają swoją głębią. Ma także dar kreowania wiarygodnych postaci, których się nie osądza, ale którym się kibicuje, nawet jeśli się wie, że popełniają błędy. Farhadi wie, że fundamentem ludzkiego życia jest kłamstwo – równie często ludzie oszukują innych, co siebie samych.

Tak się dzieje w nowym filmie Irańczyka, tym razem nakręconym we Francji z francuską obsadą. Nagradzana za rolę w **Artyście** Bérénice Bejo gra tutaj kobietę uwikłaną w skomplikowane relacje ze swoim byłym mężem i obecnym narzeczonym. Przeszłość dopada w sumie każdego z bohaterów.

W porównaniu z dwoma wcześniejszymi filmami Farhadi w tej francuskiej produkcji nieco obniżył poziom. Nie można jednak odmówić mu warsztatu i umiejętności, nadal warto poznać i tę historię opowiedzianą w specyficzny dla niego sposób.





#przygoda #sci-fi

reż. Dawid Twohy

*Riddick*

\*\*\*\*\*

Kolejna odsłona przygód Riddicka garściami czerpie ze swoich poprzednich wcieleń. Nie wprowadza żadnych rewolucyjnych rozwiązań fabularnych ani tym bardziej nie kończy historii tego bohatera.

Tym razem Riddick trafia na kompletnie zniszczoną planetę. Odkrywa, że jest ona zamieszkała przez potwory. Udaje mu się wysłać sygnał ściągający statek łowców głów, którzy lądują tam, nie wiedząc, w co się tak naprawdę pakują. Tymczasem Riddick ma wobec nich dość perfidny plan.

Reżyser nie bawił się w subtelności – akcja pędzi, trup ściele się gęsto, a efekty specjalne, mimo niskiego budżetu, wyglądają niezłe. *Riddick* nie jest sci-fi na miarę *Pacific Rim*, ale daje się obejrzeć.

#animacja #sci-Fi #adaptacja

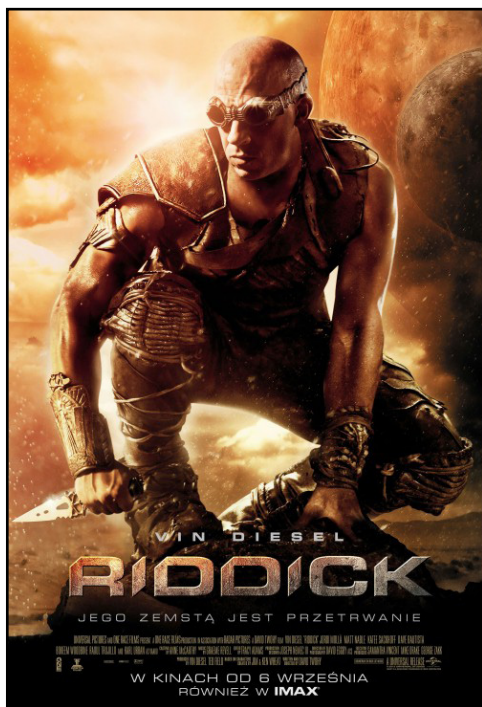
reż. Ari Folman

*Kongres*

\*\*\*\*\*

Próby przeniesienia prozy Lema na wielki ekran do tej pory kończyły się większym lub mniejszym fiaskiem. Głębi jego myśli nie udało się zekranizować samemu Tarkowskiemu. Te trudności wynikają z kilku okoliczności: gęstości materiału, jaki pozostawił po sobie pisarz, oraz tego, że był on cytowany, przywoływany i parafrazowany już tyle razy (vide sami Wachowscy), że strywalizował się w potocznym odbiorze.

Dla Folmana Lem był punktem wyjścia do nowego spojrzenia na wolność



jednostki i wpływ technologii na życie. Folman, mający na koncie **Walc z Bashirem**, postanowił użyć w swojej produkcji animacji. Dzięki temu udało mu się przenieść psychodeliczno-oniryczny klimat powieści.

Adaptacja Folmana bez wątpienia należy do najciekawszych dialogów z twórczością Lema.

#apokalipsa #komedia

**reż. Seth Rogen, Evan Goldberg**

*To już jest koniec*

\*\*\*\*\*

Absurdalna komedia o końcu świata, okraszona celebrytami, grającymi samych siebie? A do tego napisana przez Setha Rogena i Evana Goldberga? Zapowiedź tego tytułu była prawdziwą bombą w mediach, a premiera tylko to potwierdziła.

Ponieważ film opowiadający o imprezie u Jamesa Franco, ze wspomnianym Rogenem, wspieranych przez Jonahę Hilla, Jaya Baruchela, Danny'ego McBride'a i Craiga Robinsona, z Michaellem Cera, Rihanną i Emmą Watson w tle – to po prostu wybuchowa komedia. Dobrze napisana, zagrana i nakręcona. Naszpikowana odniesieniami do kina i popkultury, usatysfakcjonuje tak wymagającego kinomana, jak po prostu fana dobrej rozrywki.

#dokument

**reż. Markus Imhoof**

*Więcej niż miód*

\*\*\*\*\*

Jednym z ważniejszych cytatów filmu Imhoofa jest ten z Einsteina: jeśli pszczoły wyginą, ludzkość nie przetrwa kolejnych czterech lat. Kto by przy-





puszczał, że owady mogą paść ofiarą dzikiego kapitalizmu? O tym przekonują twórcy filmu **Więcej niż miód**. Szokujące są sekwencje, pokazujące amerykańskie hodowle pszczół, traktujące je jak kolejne źródło zarobku. Eksploatujące je do granic możliwości. Ponieważ współczesne pszczelarstwo nie ma już nic wspólnego z tradycją, bardziej przypominając przemysł, nie liczący się z ekosystemem.

Reżyser filmu jest wnukiem alpejskiego pszczelarza. Znając podejście swojego dziadka do pracy, która jest dla niego pasją, przemierza cały świat, by pokazać, jak ludzie traktują pszczoły. Ten trudny temat udało mu się opakować w atrakcyjną formę wizualną – zdjęcia uli i pszczół są zachwycające.

#akcja #thriller #sensacja #ekranizacja

reż. **Robert Luketic**

*Paranoja*

\*\*\*

**Paranoja** to ekranizacja książki Josepha Findera, jednego z lepszych autorów kryminałów i thrillerów. Choć powieść dała gotowy materiał do całkiem zgrabnego sensacyjniaka, twórcom hollywoodzkiej wersji nie udało się unieść jej ciężaru.

Mimo zatrudnienia starych wyjadaczy Gary'ego Oldmana i Harrisona Forda, w asyście Liama Hemswortha oraz Amber Heard, fabuła grzęźnie w zbyt oczywistych rozwiązaniach. Nie doświadczamy tytułowej paranoi. Zabrakło umiejętności budowania suspense i tajemnicy. Wszystko zostało pokazane i wytłumaczone z łopatologiczną filozofią. Obraz pozostaje wydmuszką:



mimo ciekawych efektów specjalnych jest zupełnie bezwartościowy.

#komediodramat #komedia romantyczna

reż. **Richard Curtis**

*Czas na miłość*

\*\*\*\*\*

Richard Curtis posiadał moc tworzenia komedii, które na stałe wpisują się w romantyczny kanon kina. Obok klasycznego *Jasie Fasoli* i *Czarnej Żmii* jest twórcą *Czterech weseli i pogrzebu*, *To właśnie miłość* czy *Notting Hill*. Jego najnowszy film nie odchodzi daleko od znanego schematu dramatu miłosnego, nie tracąc przy tym specyficznego angielskiego poczucia humoru.

Główny bohater Tim (Domhnall Gleeson) w dniu swoich 21. urodzin dowiaduje się od ojca (Bill Nighy), że w jego rodzinie mężczyźni mają dar podróżowania w czasie. Młodzieniec od razu wykorzystuje tę umiejętność do poderwania pięknej Mary (Rachel McAdams). Doświadcza zarówno porażek, jak i sukcesów, błyskotliwie komentowanych przez czuwającego ojca. Właśnie rozmowy ojcowsko-synowskie stanowią najjaśniejszy punkt filmu, brawurowo zagrane przez duet Gleeson-Nighy. Curtis wyreżyserował świetną komedię, która przypadnie do gustu kinomanom.

#biograficzny #dramat

reż. **Oliver Hirschbiegel**

*Diana*

\*\*\*\*

Nowy film Hirschbiegela, twórcy *Upadku*, to mdła opowiadka o Lady Di, obliczona na wzruszenia damskiej części publiczności. Wątek miłosny pomiędzy Dianą a lekarzem pakistańskiego po-



chodzenia, Hasnatem Khanem, jest nadrzędny wobec wszystkich innych. Hirschbiegel praktycznie w ogóle pomija sprawy angielskiego dworu królewskiego, rozpadu małżeństwa Diany i Karola czy sytuacji, w jakiej znalazły się ich dzieci. Skupia się na popularnym wizerunku księżnej jako królowej ludzkich serc.

Dlatego jego film, mimo potężnej dawki emocjonalnych scen, nie wnosi nic nowego do legendy. Natomiast postać Naomi Watts jest świetnie ucharakteryzowana, jednak nie na tyle, aby zapomnieć się w tej kreacji. W konsekwencji widz dostał towar pięknie opakowany, wręcz cukierkowy, lecz pozbawiony znaczenia.

#akcja #sensacja #kryminal  
**reż. Baltasar Kormákur**

*Agenci*

\*\*\*\*\*

Dwóch tajniaków pracuje pod kamuflażem w kryminalnym półświatku. Znają się, ale nie wiedzą o sobie, że są agentami – pochodzą z różnych instytucji. Mimo tego świetnie się dogadują, tworząc zgrany duet zakapiorów. Pasma szczęścia musiało się jednak skończyć. Kiedy okradają bank, w którym ich boss prał brudne pieniądze. Okazuje się, że kasa pochodziła jednak z rezerw CIA. Ściągają sobie na kark tym samym pościgi z obu stron barykady.

Historia zatem należy do typowych. O inności tego filmu świadczy reżyzerska jazda bez trzymanki w wykonaniu Kormákura. Zatrudnił dwóch bardzo rozpoznawalnych aktorów kina akcji (Denzela Washingtona i Marka Wahlberga), dał całkiem ciekawy scenariusz i pozwolił im zagrać na luzie. Przywołu-



jąc i cytując klasykę – zrobił kawał lekkiego kina akcji, który warto obejrzeć.

#dramat #komedia

reż. Nat Faxon, Jim Rash

*Najlepsze najgorsze wakacje*

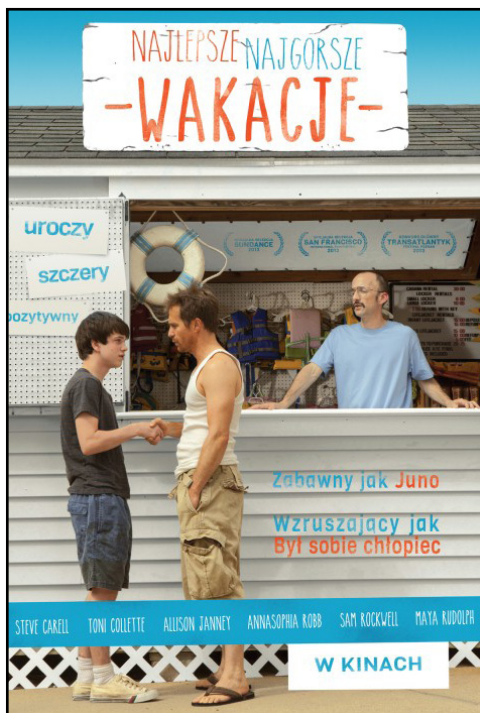
\*\*\*\*\*

Filmy markowane Festiwalem Sundance przyciągają swoją naturalnością i niebanalnym podejściem do trudnych tematów. Po **Królach lata** na polskie ekrany wszedł kolejny film spod szyldu tego amerykańskiego festu. Fabuła **Najlepszych...** skupia się na Duncanie, nastolatku, który wyjeżdża na wakacje z ponownie pozszywaną rodziną. Ojczym traktuje go jak nieudacznika, zaś matka uważa że wszystko jakoś samo się ułoży.

W tej beznadziejnej sytuacji jedynym miejscem, w którym chłopak może czuć się jak człowiek, jest park wodny. Tam poznaje Owena, brawurowo zagrane przez Sama Rockwella, jedyne dorosłego, który traktuje Duncana poważnie.

Świetny, słodko-gorzki humor, dobre aktorstwo i miłe dla oka plenery, sprawiają, że film idealnie nadaje się na zakończenie lata.

**Opracowała:** Karolina Joisan



## Skala ocen:

\*\*\*\*\*

God must have been a fuckin' genius

\*\*\*\*\*

I just met a wonderful new man.  
He's fictional but you can't have everything

\*\*\*\*\*

My mum always said,  
life is like a box of chocolates

\*\*\*\*\*

I love you, honey bunny!

\*\*\*\*\*

May the Force be with you

\*\*\*\*\*

Too weird to live, and too rare to die

\*\*\*\*

Coco Jumbo i do przodu

\*\*\*

Huston, we've got a problem

\*\*

Ja tu widzę niezły burdel

\*

Albercik! Wychodzimy!

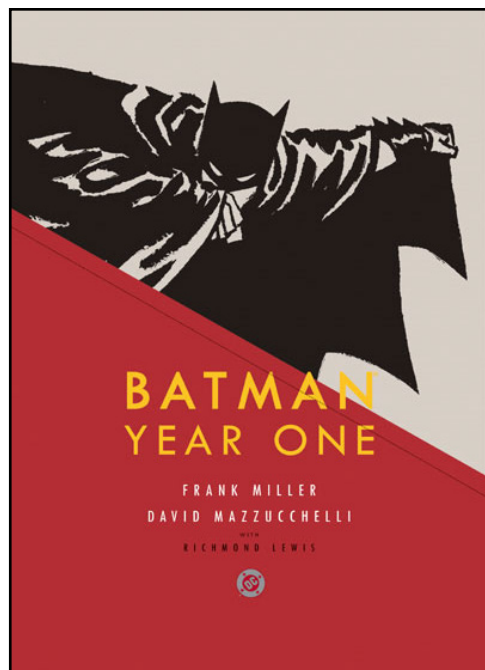


# Widmowa filmoteka

Historia X muzy obfituje w ambitne projekty z dobrym scenariuszem, gwiazdorską obsadą i wybitnym reżyserem, które jednak nie zostały zrealizowane. Prezentujemy 15 najciekawszych filmów, które nigdy nie powstały.

## *Batman: Rok pierwszy*

Po artystycznej porażce **Batmana i Robina** Joela Schumachera z 1997 roku hollywoodzcy producenci mieli do



## *Batman: Rok pierwszy*

wyboru kilka pomysłów na odświeżenie wizerunku Człowieka-Nietoperza, a wśród nich: **Batman Beyond** Boaza Yakina, **Batman vs. Superman** Wolfganga Petersena do scenariusza Andrew Kevina Walkera (autor doskonałego skryptu do **Siedem** Finchera) oraz adaptacja **Batman: Arkham Asylum** Granta Morrisona i Dave’a McKean. Najciekawiej zapowiadał się jednak wspólny projekt legendy komiksu Franka Millera i Darrena Aronofsky’ego, który był świeżo po sukcesie **Pi** i tuż przed sukcesem **Requiem dla snu**. Obydwaj chcieli, żeby nowy Batman był inny zarówno od baśniowej konwencji Tima Burtona, jak i kampowego kiczu Schumachera. Postawili więc na realizm – według słów samego Aronofsky’ego, chcieli uzyskać efekt surowości znany z **Życzenia śmierci** i **Francuskiego łącznika**; postać komisarza Gordona miała przypominać Serpico, zaś Batman swoim szaleństwem i brutalnością miał dorównywać Travisowi Bickle z **Taksówkarza**. Miller i Aronofsky napisali razem scenariusz

na podstawie komiksowej serii **Batman: Rok pierwszy** Millera i Davida Mazzucchelliego. Tekst został odrzucony przez Warner Bros – wytwórnia prawdopodobnie obawiała się zbyt mrocznego tonu całości. Co ciekawe, Aronofsky w głównej roli widział Christiana Bale’a, który później wcielił się w Batmana w trylogii Christophera Nolana.

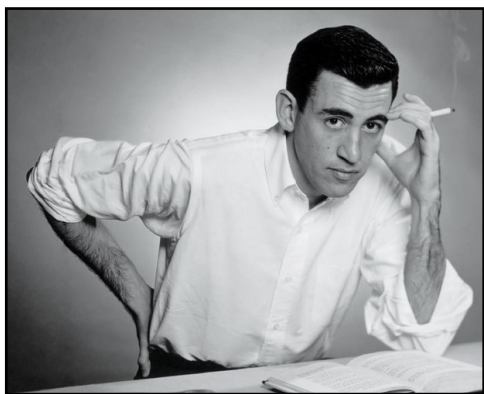
### *Buszujący w zbożu*

Słynna i zarazem niesławna powieść J.D. Salinger’a z 1951 roku była nie tylko biblią zabójcy Johna Lennona i zamachowca, który próbował zastrzelić Ronalda Reagana. Od niemal samego początku pobudzała też wyobraźnię filmowców, choć autor zdecydowanie sprzeciwiał się ekranizacjom swoich dzieł – po tym jak jedno z jego opowiadań zostało przeniesione na ekran bez dochowania wierności oryginalnej historii i pod zmienionym tytułem. Przez dekady o zgodę pisarza bezskutecznie zabiegali aktorzy i reżyserzy, w tym Billy Wilder, Terrence Malick, Marlon Brando, Jack Nicholson, Leonardo DiCaprio, John Cusack, Tobey Maguire,

a nawet Jerry Lewis, gwiazdor slapsticku, który w latach 70. chciał nie tylko wyreżyserować film, ale też zagrać Caulfielda (choć zbliżał się wówczas do czterdziestki). Salinger pozostał nieugięty. Kiedy Elia Kazan usiłował wystawić na Broadwayu sztukę na podstawie **Buszującego**, pisarz zabronił mu tego pod groźbą procesu. Kiedy Steven Spielberg wysłał agentom Salinger’a lukratywną propozycję finansową, żeby namówić ich do sprzedaży praw do książki, ci nawet nie przekazali jej swojemu pracodawcy, dobrze wiedząc, jak brzmiałaby odpowiedź. Po śmierci Salinger’a w 2010 roku jego spadkobiercy publicznie ogłosili, że w kwestii ekranizacji najsłynniejszego powieści autora nic się nie zmieniło.

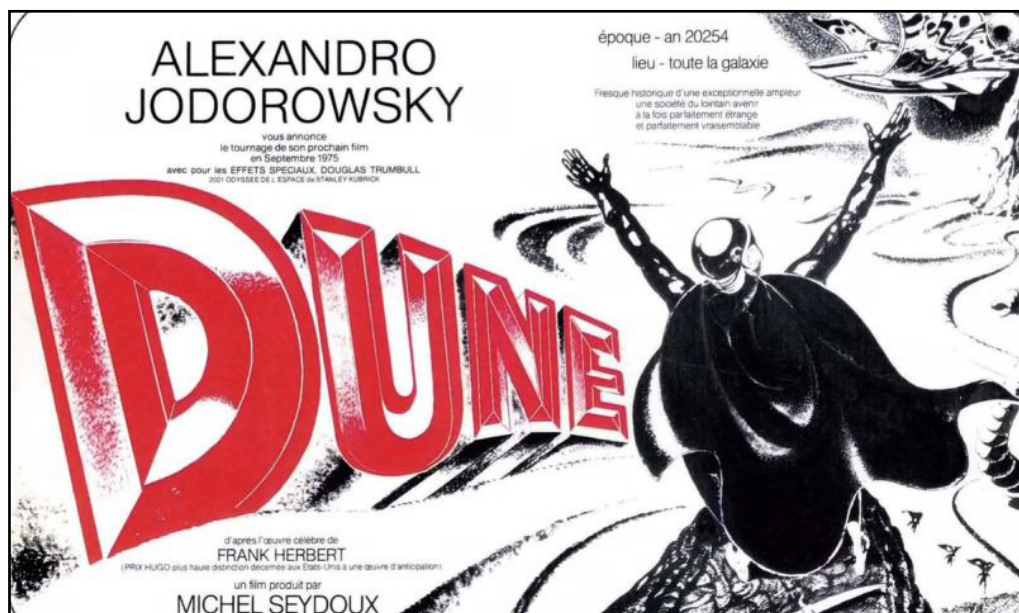
### *Diuna*

Filmowa wersja arcydzieła science fiction Franka Heberta oczywiście powstała – w 1984 roku nakręcił ją David Lynch. Zanim to się jednak stało, w latach 70. plany ekranizacji przedsięwziął sam Alejandro Jodorowsky, który zasłynął **Świątą Górą** i **Kretem**. Wizja chilijskiego reżysera była isticie epicka: **Diuna** miała trwać od 10 do 14 godzin, w obsadzie znaleźli się m.in. Salvador Dali, Orson Welles i Mick Jagger, zaś muzykę miała skomponować grupa Pink Floyd i awangardowy kompozytor Karlheinz Stockhausen. Do produkcji zaangażowano też francuskiego rysownika Moebiusa i szwajcarskiego artystę H.R. Giger’a, późniejszego twórcę potwora występującego w serii **Obcy**. Narysowano tysiące storyboardów (niektóre można znaleźć w sieci), zaprojektowano setki kostiumów, a na przedprodukcję wydano aż 2 z 9 milionów



**J.D. Salinger**





## Diuna

dolarów przeznaczonych na całość. Scenariusz miał ponoć objętość książki telefonicznej. Dali, któremu zaoferowano rolę Imperatora Szaddama IV, zażądał 100 tysięcy dolarów za każdą godzinę spędzoną na planie. Welles, obsadzony całkiem trafnie jako Baron Harkonnen, zgodził się na udział dopiero wtedy, gdy Jodorowsky zatrudnił ulubionego szefa kuchni twórcy *Obywatela Kane'a*. Projekt upadł jednak z powodów finansowych, co było do przewidzenia, zaś prawa do ekranizacji odkupił Dino de Laurentiis, który zaangażował Lyncha. Tak powstała *Diuna*, którą dziś znamy. Natomiast zmagania Jodorowsky'ego z książką Herberta stały się przedmiotem dokumentalnego filmu *Jodorowsky's Dune*, który miał swoją premierę w 2013 roku na festiwalu filmowym w Cannes.

## Isobar

Ridley Scott jest być może rekordzistą, jeśli chodzi o filmy, które nigdy nie powstały: *Nowy Wspaniały Świat* (adaptacja powieści Aldousa Huxleya), *Crisis in the Hot Zone* (thriller o globalnej epidemii śmiertelnego wirusa), *The Forever War* (widowisko science fiction na podstawie prozy Joe Haldemana), *Tripoli* (historyczny epos), *Gucci* (dzieje słynnego rodu projektantów mody), *Gertrude Bell* (biografia brytyjskiej podróżniczki), *Child 44* (historia seryjnego mordercy dzieci w stalinowskiej Rosji), *Monopoly* (filmowa wersja popularnej gry planszowej), *Stones* (thriller o zjawiskach paranormalnych), *Blood Red Road* (postapokaliptyczna fantastyka) i kontynuacja *Blade Runnera* – to tylko niektóre z nich. Pod koniec lat 80. Scott zainteresował się scenariuszem zatytułowanym *Dead Reckoning*. Była to

mroczna opowieść science fiction o genetycznie zmutowanym humanoidzie, który ucieka z laboratorium i sieje terror w okolicach stacji metra. Scott zmienił tytuł skryptu na **Isobar** i ponownie nawiązał współpracę z H.R. Gigerem, który przygotował kilka wstępnych elementów designu na potrzeby filmu. Reżyser jednak wycofał się z projektu, żeby skupić się na **Thelmie i Louise**, a coraz bardziej modyfikowany scenariusz **Isobar** przechodził z rąk do rąk (interesowali się nim m.in. Arnold Schwarzenegger, Sylvester Stallone i Roland Emmerich), by ostatecznie przepaść w niebycie.

### *Leningrad: The 900 Days*

Pod koniec lat 80. Sergio Leone chciał zrealizować epopeję o oblężeniu Leningradu w czasie II wojny światowej. Twórca słynnych spaghetti westernów i gangsterskiego arcydzieła **Dawno temu w Ameryce** zainteresował się tym tematem po lekturze książki **The 900 Days: The Siege of Leningrad** Harrisona Salisbury'ego. Film miał opowiadać historię amerykańskiego reportera (reżyser widział w tej roli Roberta De Niro), który nie może dostać się z oblężonego przez niemiecką

armię miasta i zakochuje się w Rosjance. W 1989 roku Leone zgromadził zawrotną sumę 100 milionów dolarów na realizację filmu, przekonał Ennio Morricone do napisania muzyki i nawet otrzymał zgodę władz ZSRR na filmowanie na terytorium kraju. Zdjęcia miały ruszyć rok później, ale Leone zmarł dwa dni przed podpisaniem kontraktu z wytwórnią. Tym samym film jako ostatni trafił do grona obrazów nigdy niezrealizowanych przez włoskiego reżysera. Inne to między innymi **A Place Mary Knows** (western z Mickeyem Rourke i Richardem Gere), **Colt** (telewizyjny miniserial utrzymany w konwencji realistycznego westernu), **Don Quixote** (uwspółcześniona ekranizacja powieści Miguela de Cervantesa z Clintem Eastwoodem w tytułowej roli i Ellim Wallachem jako Sancho Pansą) i **Podróż do kresu nocy** (adaptacja słynnej powieści Louis-Ferdinanda Céline'a, której Leone był wielkim fanem i której elementy przemycił wcześniej do **Dobrego, złego i brzydkiego**).

### *Megalopolis*

Francis Ford Coppola porzucał projekty już wcześniej – zrezygnował między



*Megalopolis*





innymi z ekranizacji **W drodze** Jacka Kerouaca i swojej wersji bajki o Pinokiu – jednak fanom najbardziej żal filmu pod roboczym tytułem **Megalopolis**. Było to nad wyraz ambitne przedsięwzięcie, pełna rozmachu historia o walce sztuki i komercji oraz przeszłości i przyszłości, opowiedziana z perspektywy mieszkańców Nowego Jorku, którzy próbują odbudować miasto po gigantycznej katastrofie. Filmem byli poważnie zainteresowani aktorzy tej miary, co Robert De Niro, Kevin Spacey, Paul Newman i Russell Crowe. Niestety, ataki terrorystyczne 11 września 2001 roku na dłuższy czas przekreśliły możliwość realizacji filmu o takiej tematyce. Coppola czasami wraca do **Megalopolis** w wywiadach, zaznaczając, że być może kiedyś uda mu się go nakręcić.

## Napoleon

W swojej blisko półwiecznej karierze Stanley Kubrick usiłował nakręcić wiele filmów, z których nic nie wyszło, m.in. adaptacje prozy Umberto Eco (**Wahadło Foucaulta**) i Patricka Süskinda (**Pachnidło**), film o Holokauście (**Ary-**

**an Papers**) i wiele innych obrazów. Z pewnością najbardziej ambitnym niespełnionym projektem Kubricka była filmowa biografia Napoleona, którą planował zrealizować tuż po sukcesie **2001: Odysei Kosmicznej**. Reżyser miał prawdziwą obsesję na punkcie cesarza – łączna liczba książek o Napoleonie, jakie przeczytał, przekraczała 500 tytułów. Żeby ułatwić sobie pracę, z pomocą 20 absolwentów historii na Oxfordzie stworzył olbrzymi katalog najważniejszych wydarzeń, dat, miejsc i postaci z całego życia Napoleona – od narodzin aż do śmierci. Katalog ów zawierał blisko 25 tysięcy kart ułożonych chronologicznie w bibliotecznych kasztach. Poza tym Kubrick wysłał swojego asystenta w podróż dookoła świata śladami Napoleona, by ten zrobił zdjęcia (powstało w sumie 15 tysięcy) i pobierał próbki gleby, na przykład w Waterloo – musiał mieć bowiem pewność, że jeśli będzie filmował gdzie indziej, ziemia musi mieć dokładnie taki sam kolor i konsystencję, jak w miejscu słynnej bitwy! Kubrickowi udało się nawet przekonać rządy Rumunii i Jugosławii, żeby zapewniły mu po 30 tysięcy żołnierzy jako statystów do scen bitew-

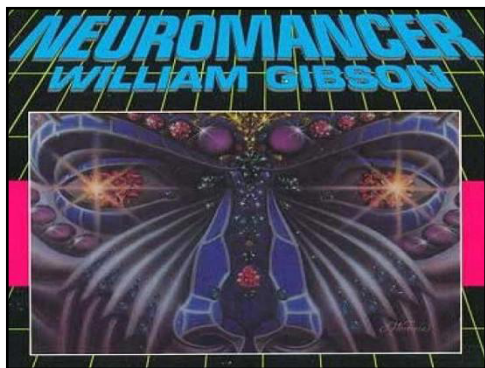
nych. W trzygodzinnym filmie Napoleona zagrać miał David Hemmings lub Jack Nicholson, zaś Józefinę – Audrey Hepburn. Niestety, benedyktyńska praca włożona w realizację filmu poszła na marne. **Napoleon** został anulowany głównie z dwóch powodów: niewystarczający budżet i komercyjna porażka fil-



Stanley Kubrick



mu **Waterloo** Siergieja Bodnarczuka z 1970 roku. W kolejnych latach Kubrick ciągle wracał do projektu, ale ostatecznie nigdy nie udało mu się go zrealizować. Zachował się jednak scenariusz Kubricka (można go znaleźć w internecie), który posłużył za kanwę miniserialu telewizyjnego wyprodukowanego przez Stevena Spielberga. Obsada, reżyser, data emisji – na razie nieznane.



*Neuromancer*

## *Neuromancer*

Kultowa powieść Williama Gibsona miała zostać przeniesiona na ekran przez Chrisa Cunninghama – słynnego twórcę reklam i doskonałych, wielokrotnie nagradzanych wideoklipów (te najbardziej znane to **Windowlicker** i **Come To Daddy** Aphex Twina, **All Is Full Of Love** Björk, **Frozen** Madonny, **Come On My Selector** Squarepushera, **Only You** Portishead i **Afrika Shox** Leftfield). Cunningham miał też doświadczenie przy pracy nad filmami pełnometrażowymi – był odpowiedzialny za wygląd ksenomorfa w trzeciej i czwartej części **Obcego**, stworzył model cyborga w **Hardware** Richarda Stanleya, zaprojektował potwory w **Nocnym plemieniu** Clive'a Barkera i wizerunek Mean Machine w pierwszej ekranizacji **Sędziego Dredda**, zaś Stanley Kubrick powierzył mu design robotów w **A.I.** (po roku pracy Cunningham zrezygnował, żeby skupić się na karierze reżysera; Kubrick zmarł niedługo później, nie dokończywszy filmu – zrobił to za niego Steven Spielberg). Wydawał się więc stworzony do wyreżyserowania **Neuromancera**, miał też błogosławieństwo samego Gibsona, który uważał go za jedyne

ka mogącego zekranizować biblię cyberpunku. W 2000 roku obaj panowie zaczęli wspólnie pracować nad scenariuszem, dogadali się nawet z Aphex Twinem, żeby skomponował muzykę do filmu, ale wkrótce Cunningham nieoczekiwanie wycofał się z projektu. Podobno nie przystał na warunki producentów, którzy postanowili, że debiutujący w pełnym metrażu reżyser nie będzie miał decydującego wpływu na ostateczny kształt całości. Wiele wskazuje jednak na to, że filmowa wersja **Neuromancera** w końcu powstanie – następcą Cunninghama został Vincenzo Natali, autor pamiętnego **Cube**. Wśród kandydatów do roli głównego bohatera, hakera Case'a, wymieniana się Liama Neesona i Marka Wahlberga.

## *Neutron*

Na początku lat 80. Derekowi Jarnanowi zamarzyło się postapokaliptyczne widowisko science fiction z udziałem Davida Bowie (który miał już na koncie wysoko cenioną kreację w **Człowieku, który spadł na Ziemię** Nicolasa Roega) w roli głównej. Niedysiejszy Ziggy Stardust był zachwycony scenariuszem



## David Bowie, *Neutron*

i rysunkami Jarmana, miał też wiele pomysłów dotyczących muzyki, którymi dzielił się z reżyserem. **Neutron** opowiadał historię konfliktu dwóch antybohaterów w świecie po globalnej katastrofie i czerpał zarówno z Apokalipsy św. Jana, jak i z pism Junga. Jednak projekt nigdy nie wyszedł poza sferę planów. Plotka głosiła, że Bowie wycofał się z projektu, kiedy zobaczył w domu Jarmana okultystyczne książki i na tej podstawie posądził reżysera o próbę manipulacji za pomocą magii (autentyczności całej historii miał dodawać fakt, że kilka lat wcześniej muzyk sam próbował parać się magią w kokainowym amoku). Bowie zdementował te pogłoski w jednym z wywiadów i podkreślił, że bardzo zależało mu na

współpracy z Jarmanem. Prawda na temat porzucenia filmu jest bardziej prozaiczna – twórcom nie udało zebrać się odpowiednich funduszy na jego kosztowną realizację. Szkoda, bo zapowiadało się nad wyraz interesująco.

### *Pięć i pół bladego Józka*

Na przełomie lat 60. i 70. Henryk Kluba nakręcił film o gangu motocyklowym, który terroryzuje mieszkańców prowincjonalnego miasteczka. Do walki z harleyowcami staje młody dziennikarz i władająca wschodnimi sztukami walki (!) dziewczyna. Oficjalny scenariusz Wiesława Dymnego został napisany w taki sposób, żeby mógł zostać zatwierdzony przez Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Na planie filmowym

tekst był jednak gruntownie przerabiany niemal z dnia na dzień. Nic to nie pomogło – film z hukiem rozbił się o but komunistycznej cenzury, która zażądała usunięcia niemal połowy scen i zniszczenia zawierających je taśm. Ekipie Kluby udało się zrealizować film z ocalałych materiałów, jednak po kolaudacji cenzura zakazała jego rozpowszechniania. W rezultacie nigdy nie trafił na ekrany kin, na długie lata poszerzając grono tak zwanych półkowników. Kluba już wcześniej naraził się PRL-owskiej władzy, między innymi dyplomową etiudą **Ocalenie** o eliminacji żołnierzy AK przez bezpiekę. Aferę wokół **Pięć i pół bladego Józka** (osobliwy tytuł to nazwa filmowego gangu) wspominał jako największą katastrofę w swojej karierze. Film został po raz pierwszy zaprezentowany szerszemu audytorium dopiero po upadku komunizmu. Jego finalny kształt mocno odbiegał od pierwotnej wizji i stąd obecność **Józka** na liście.

### Sinatra

O filmowej biografii najsłynniejszego amerykańskiego śpiewaka XX wieku od lat marzy Martin Scorsese. Autor **Wściekłego byka** wrócił do tematu na jednej z konferencji prasowych promujących **Wyspę tajemnic** w 2010 roku, zaznaczając, że chce, aby **Sinatra** był jego kolejnym filmem. Dziś wiadomo już, że tak się nie stało – w następnej kolejności Scorsese nakręcił **Hugo i jego wynalazek**



**Frank Sinatra**

i **The Wolf of Wall Street**, zaś kolejne projekty to dokument o Billu Clintonie i **Silence** – film o chrześcijańskich misjonarzach w Japonii XVII wieku. Scorsese zainteresował się Sinatrą ze względu na barwność jego życia oraz wpływ, jaki wywarł na popkulturę. Planowany przez reżysera film miał ukazywać kilka różnych okresów z życia piosenkarza, a w każdym z tych okresów Sinatrę sportretowałby inny aktor. Wśród kandydatów do głównych ról wymieniano się m.in. Johnny'ego Deppa, George'a Clooneya, Leonardo DiCaprio, Tobeya Maguire'a i Brada Pitta. Sam Scorsese wymieniał też Ala Pacino jako Sinatrę w schyłku kariery (chciał też zaangażować Roberta De Niro w roli Deana Martina). Wszystko to nadal pozostaje w sferze mglistych planów.

### Spotkanie z Ramą

Kiedy w 1996 roku Morgan Freeman powołał do życia własną kompanię producencką Revelations Entertainment,



jednym z pierwszych filmów stworzonych pod jej szyldem miała być ekranizacja **Spotkania z Ramą** Arthura C. Clarke'a. To klasyczna powieść science fiction o załodze ziemskiego statku kosmicznego, która usiłuje zbadać „Ramę” – gigantyczny, przemierzający kosmos pojazd obcej rasy. Budżet zaplanowano na mniej więcej 100 milionów dolarów, a w roli reżysera Freeman widział Davida Finchera, z którym pracował przy **Se7en**. Już na początku pojawiły się problemy z uzyskaniem odpowiednich funduszy. Odpowiednią sumę zebrano dopiero w 2003 roku i wydawałoby się, że realizacja filmu wkrótce ruszy. Tak się jednak nie stało, a pięć lat później Fincher obwieścił, że szanse na nakręcenie **Spotkania** są minimalne – na tym etapie nie było nawet scenariusza. W 2010 roku Freeman potwierdził, że

największe trudności sprawia znalezienie odpowiedniego skryptu i dodał, że jeśli film kiedykolwiek powstanie, powinien zostać zrealizowany w technice 3D. Dwa lata później w jednym z wywiadów aktor wrócił do tematu, zaznaczając, że choć w dalszym ciągu chciałby wyprodukować **Spotkanie z Ramą**, nadal nie ma dobrego scenariusza. Zapewnił jednak, że film w końcu powstanie. Kiedy – tego nie powiedział.

### *The Man Who Killed Don Quixote*

Sergio Leone nie był jedynym, któremu marzyła się ekranizacja powieści Cervantesa. Podobne ambicje miał Terry Gilliam. Realizację filmu planował już na początku lat 90. Twórca **Brazil** napotkał jednak duże trudności w znalezieniu sponsorów, skupił się więc na

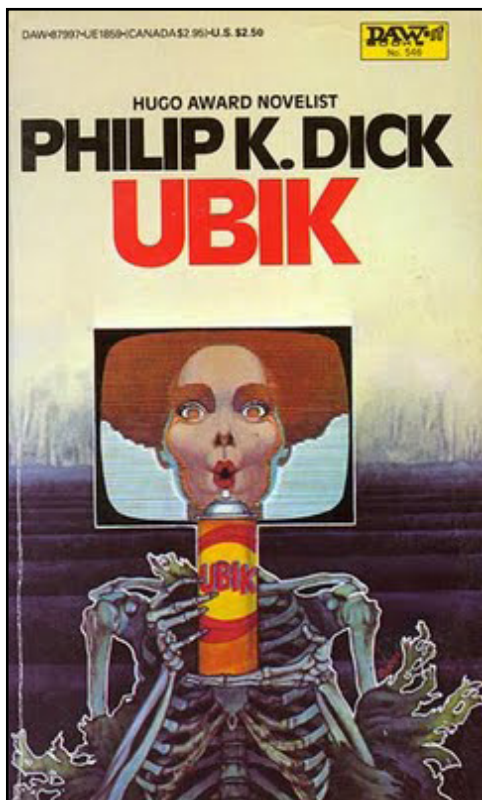


*The Man Who Killed Don Quixote*

innych projektach. Fundusze zdobył dopiero pod koniec wieku. W roli Don Kichota obsadzono francuskiego aktora Jeana Rocheforta, a towarzyszyć mu mieli Johnny Depp i Vanessa Paradis. Realizacja ruszyła jesienią 2000 roku. Gilliam zatrudnił filmowców Keitha Fultona i Louisa Pepe do kręcenia relacji z planu z myślą o bonusach na DVD. To, co miało być atrakcją dodatkową, okazało się kroniką prawdziwej katastrofy. Problemy pojawiły się już pierwszego dnia – ryk samolotów z pobliskiego lotniska wojskowego zakłócał pracę ekipy. Nazajutrz nagła powódź połączona z opadami gradu zniszczyła sprzęt i część dekoracji. Ostateczny cios przyszedł wraz z atakiem dyskopatii u Rocheforta, który uniemożliwił aktorowi dalszą grę. Zdjęcia przerwano po tygodniu, zaś na podstawie zarejestrowanych materiałów Fulton i Pepe zrealizowali w 2002 roku znakomity dokument ***Lost in La Mancha***. W późniejszych latach Gilliam kilkakrotnie próbował reaktywować projekt, w roli Don Kichota mieli wystąpić m.in. Gérard Depardieu, Michael Palin (stary znajomy z czasów Monty Pythona) i Robert Duvall. Kiedy w 2010 roku wreszcie potwierdzono wybór tego ostatniego i wyznaczono już termin rozpoczęcia zdjęć, sponsorzy wycofali znaczną część wsparcia finansowego. Gilliam nie traci jednak nadziei i utrzymuje, że ***The Man Who Killed Don Quixote*** w końcu powstanie.

## Ubik

Kolejna niezrealizowana ekranizacja powieści. ***Ubik***, jeden z najwyżej cenionych utworów Philipa K. Dicka, ukazał



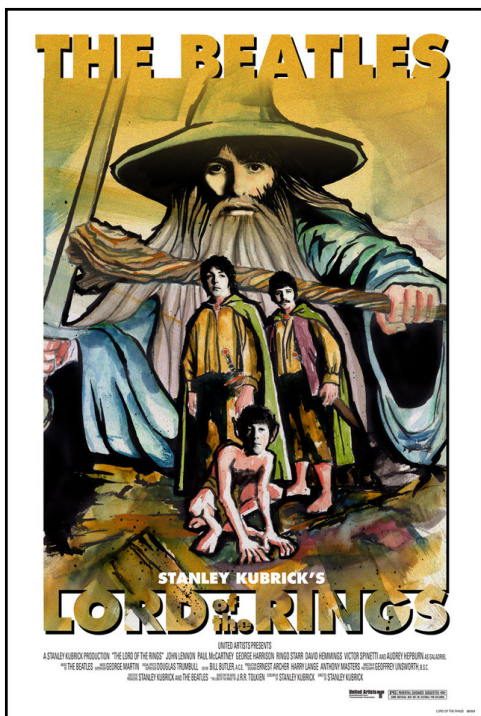
*Ubik*

się w 1969 roku. Już pięć lat później francuski reżyser Jean-Pierre Gorin usiłował nakręcić adaptację książki na podstawie scenariusza samego Dicka (opublikowanego w 1985 roku w przededagowanej wersji), ale projekt upadł z powodów finansowych. Pomysł zapowiadał się bardzo ciekawie – scenariusz różnił się od powieści i zawierał kilka dodatkowych scen, zaś sam Dick miał szereg pomysłów co do wizualnej strony filmu (chciał m.in. łączyć ujęcia czarno-białe z kolorowymi i zniekształcać taśmę filmową, co miało korespondować z powieściowym światem rozpadającym się na kawałki). Pomysł na ekranizację ***Ubika*** powrócił

w 2011 roku za sprawą Michela Gondry'ego, reżysera **Zakochanego bez pamięci, Jak we śnie** i **Dziewczyny z lilii** na podstawie prozy Borisa Viana. Nad powstaniem filmu czuwa między innymi Isa Dick Hackett, rodzona córka Dicka, ale projekt jest nadal w fazie wczesnych przygotowań. Na razie fani książki muszą zadowolić się grą komputerową na jej podstawie z 1998 roku.

## Władca Pierścieni

Zanim Peter Jackson zekranizował trylogię Tolkiena na początku XXI wieku, a nawet jeszcze przed tym, jak Ralph Bakshi nakręcił pierwszą (i jedyną) część animacji na podstawie **Drużyny Pierścienia** w 1978 roku, próbę przeniesienia na ekran przygód hobbitów podejmowało wielu twórców. Pierwsze plany nakręcenia **Władcy Pierścieni** pojawiły się jeszcze w latach 50., krótko po publikacji książki. Trzygodzinny film miał być mieszanką animacji, fabuły i miniaturowych modeli. Tolkien był entuzjastyczny wobec takiej formy, ale nie spodobał mu się scenariusz i warunki kontraktowe, jakie zaproponowali producenci. Projekt został więc anulowany. Najciekawszy pomysł na **Władcę Pierścieni** mieli Beatlesi, którzy w latach 60. zaproponowali reżyserię Stanleyowi Kubrickowi, sami zaś widzieli się w kluczowych rolach – McCartney jako Frodo, Lennon jako Gollum, Harrison jako Gandalf i Starr jako Sam. Podobno Kubrick był wstępnie zainteresowany, ale ostatecznie odrzucił propozycję zespołu. Pomysł upadł ostatecznie, kiedy okazało się,



## Władca Pierścieni

że Tolkien nie przepada za Beatlesami. Później za adaptację powieści wziął się John Boorman – zamierzał skondensować trzy tomy w jednym filmie i wprowadzić kilka motywów, których nie było w książce (najbardziej godna wzmianki jest scena seksu Frodo i Galadrieli). Przedsięwzięcie okazało się jednak zbyt kosztowne i studio United Artists nie podjęło ryzyka. Boorman wykorzystał potem część pomysłów i lokacji, kręcąc **Excalibura**.

Maciej Kaczmarski

# PREMIERY

## książkowe

#reportaż #literatura faktu

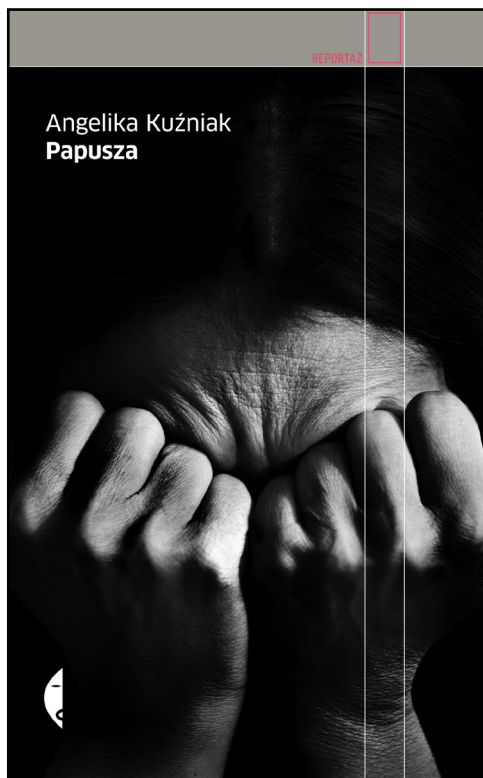
**Angelika Kuźniak**

*Papusza*

\*\*\*\*\*

Według romskich standardów, Papusza (po cygańsku „lalka”) była kobietą wyzwoloną, za co ostatecznie spotkał ją ze strony romskiej społeczności skrajny ostracyzm. Pisać i czytać nauczyła się samodzielnie. Jednak talent okazał się być przekleństwem – doceniona przez niewielu, żywot wiodła w odosobnieniu. Książka Angeliki Kuźniak rzuca nowe światło na życie utalentowanej i niedocenianej ze względu na pochodzenie i styl życia poetki.

Nie wiem, czy zbieżność wydania książki i premiery filmu Krauzego o tym samym tytule jest przypadkowa, ale dzięki takiej kumulacji zainteresowanie twórczością Bronisławy Wajs, czyli tytułowej **Papuszy**, znacznie wzrosło. Autorka poprzez materiały archiwalne – pamiętnik poetki i korespondencję (m.in. z Julianem Tuwimem) – ukazuje głęboko niesprawiedliwy świat, pełen nieufności i uprzedzeń. **Papusza** to wzruszająca reporterska opowieść o kobiecie, która wyprzedziła swój czas o kilka dekad. I cenie, jaką za to zapłaciła.





#fantastyka #science fiction #klasyka

**Philip K. Dick**

*Świat Jonesa*

\*\*\*\*\*

Miłośnicy science fiction będą Rebiso-  
wi wdzięczni za podjęcie się wydania  
Philipa K. Dicka w formie ekskluzywnej  
serii wybranych dzieł tego kultowego  
amerykańskiego pisarza. Jest to też  
doskonała okazja, żeby sięgnąć do  
korzeni i odkurzyć powieści starsze,  
mniej znane.

W *Świecie Jonesa* autor ukazuje  
pesymistyczną wizję postnuklearne-  
go świata. Społeczeństwo hołduje idei  
relatywizmu – poznajemy apatyczną,  
pozbawioną moralności ludzkość. Ży-  
cie mija na libacjach, orgiach i nękanii  
słabszych od siebie. Ten stan rzeczy  
zakłóca pojawienie się tajemniczego  
Jonesa, który posiada umiejętność  
przewidywania przyszłości. Czy ta  
wiedza będzie wystarczającym bodź-  
cem, żeby zmienić zepsuty do granic  
możliwości świat?

*Świat Jonesa* jest jedną z najsłab-  
szych powieści Philipa K. Dicka. Wiem  
jednak, że fani odnajdą wątki, które  
w późniejszej swojej twórczości pisarz  
rozwija, tworząc to, czym zasłużył na  
miejsce wśród czołowych fantastów  
naukowych.

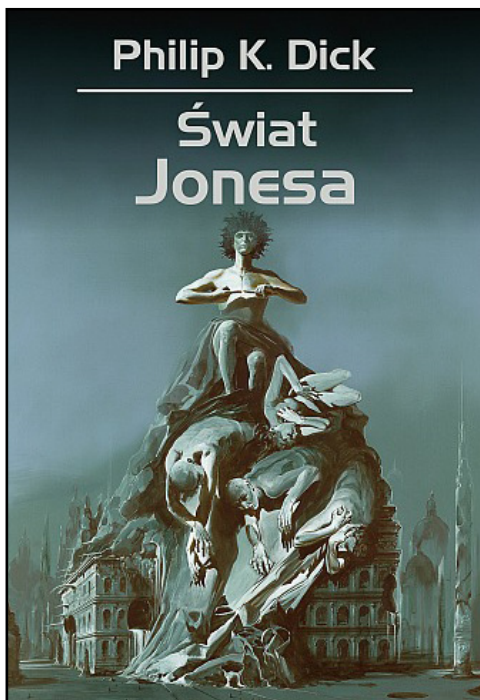
#dramat #romans #literatura kobieca

**Leah Fleming**

*Córka Kapitana*

\*\*\*\*\*

Katastrofa najslawniejszego liniowca  
świata pobudza wyobraźnię niejed-  
nego pisarza. Leah Fleming, brytyj-  
ska autorka powieści historycznych,



w swojej nowej książce również sięga do tej studni bez dna i umiejscawia część akcji **Córki kapitana** na „Titanicu”. Skupia się jednak nie na ekskluzywnym liniowcu, lecz na przeżyciach kobiet, którym udaje się uratować z tonącego statku.

Podczas ewakuacji May traci z oczu swojego męża. Wraz ze statkiem toną jej marzenia i nadzieje na szczęśliwe rodzinne życie. Poznana w szalupie ratunkowej Celeste obserwuje budzące grozę wydarzenia z dystansu – żałuje, że na pokładzie nie ma jej znienawidzonego męża. Czy w takich warunkach może się narodzić wieloletnia przyjaźń, która pozwoli kobietom przetrwać nie tylko katastrofę Titanica, lecz także trudności i rozczarowania, które przyniosą kolejne lata?

**Córka Kapitana** jest powieścią, która na pewno przypadnie do gustu miłośnikom powieści pokroju **Przeminęło z wiatrem**. Miłość, walka z przeciwnościami losu, niestrudzone dążenie do celu, jakim jest szczęście własne i najbliższych, a wszystko to na tle najważniejszych wydarzeń pierwszej połowy XX wieku. Być może znajdziemy u Fleminga zbyt wiele zbiegów okoliczności, ale w poszukiwaniu lekkiej i niezbyt ambitnej lektury można na to przymknąć oko.

#fantastyka

**Jakub Ćwiek**

*Chłopcy 2. Bangarang*

\*\*\*\*\*

**Bangarang** jest kontynuacją przygód ekipy harleyowców, którzy ciągle pakują się w jakieś tarapaty. Dowodzi

## Skala ocen:

\*\*\*\*\*

Sto lat samotności

\*\*\*\*\*

Miasto grzechu

\*\*\*\*\*

Cień wiatru

\*\*\*\*\*

Gra w klasy

\*\*\*\*\*

Czas jest najprostrzą rzeczą

\*\*\*\*\*

Moja walka...

\*\*\*\*

Kronika sportowa

\*\*\*

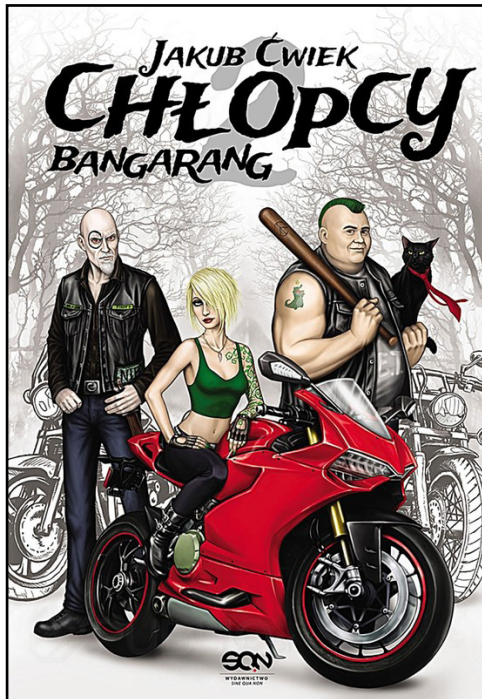
Paulo Coelho

\*\*

Żegnaj laleczko

\*

Czas pogardy



nimi filigranowa blondynka i tylko ona potrafi poskromić swoich „podopiecznych”. Wyrośnięci, wiecznie niedojrzali chłopcy tym razem postanawiają odbudować lunapark, który dotychczas był ich kryjówką, i otworzyć go publiczności. Podejmując się tego zadania, nawet nie wiedzą, ile kłód spod nóg po drodze przyjdzie pozbierać.

**Chłopcy** Jakuba Ćwika, zarówno je-dynka, jak i dwójka, są typowo rozryw-kową, niezbyt ambitną lekturą. Jednak należy przyznać, że taka interpretacja motywu Piotrusia Pana i Nibylandii jest dość interesująca. Z jednej strony, poznajemy wyrośniętych i niebezpiecz-nych drabów w skórzanych kurtkach, którzy nie stronią od używek i sprawnie posługują się szczyrorykami, z dru-giej – jest to świat, gdzie istnieje magia i można sobie pozwolić odłożyć bycie dorosłym na później.

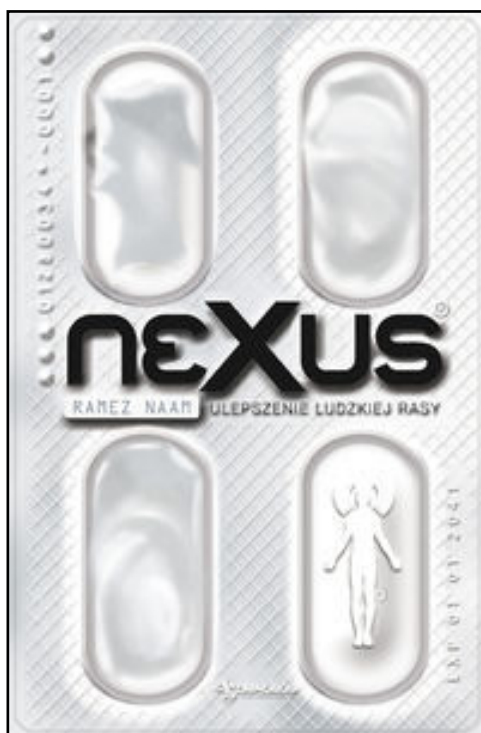
#sensacja #thriller #science fiction

**Ramez Naam**

*Nexus*

\*\*\*\*\*

Wyobraź sobie, że możesz połączyć się z umysłem drugiego człowieka. Nagle druga istota ludzka przestaje być dla Ciebie tajemnicą: rozumiesz motywy jej działań, podłoże podejmowanych decyzji. A co jeżeli możesz sięgnąć jesz-cze głębiej? Przeglądać wspomnienia, komunikować się i współpracować bez słów – wszystko dzięki nanonarkoty-kowi Nexus. Naukowcami pracującymi nad ulepszeniem tego specyfiku kierują szlachetne pobudki, jednak nie trze-ba być geniuszem, aby przewidzieć,



że niektórzy będą chcieli wykorzystać „cudowny narkotyk” w zupełnie innych celach.

Fani fantastyki naukowej nie znajdą w tej powieści niczego odkrywczego, to wszystko już było: niedaleka przyszłość, lek stymulujący ludzki mózg i wynikające z tego dylematy moralne bohaterów. **Nexus** Naama to przede wszystkim dobrze skonstruowana fabuła i wartka akcja, bardziej thriller, niż typowe sci-fi. Warto nastawić się na efektowne pościgi, dużo akcji i szczyptę filozofii.

**Opracowała:** Ana Matusevič

#realizm magiczny/mityczny #fantastyka

# Kanadyjski realizm mityczny

Powieść, w której między wierszami czuć podmuchy mroźnego wiatru. Dokładniej okrywasz się ciepłym kocem i choć za oknem jeszcze wczesna jesień, Twoje myśli wędrują ku bezkresnym kanadyjskim lasom, do zim tak długich, że ostatni śnieg spływa dopiero w sierpniu.

Gdy Stephen po latach wraca do rodzinnego Sawgamet, początkowo nie poznaje tego miejsca. Szczególnie, że powrót ten wiąże się z chorobą matki. Jednak wystarczy kilka nocy, spędzonych na czuwaniu przy chorej, urywki

słów i garść wspomnień, żeby na nowo poczuć magię tego miejsca.

O początkach osady Sawgamet, wybudowanej przez poszukiwaczy złota, krążą różne opowieści. Przekazywane z ust do ust, nabierają niewiarygodnych



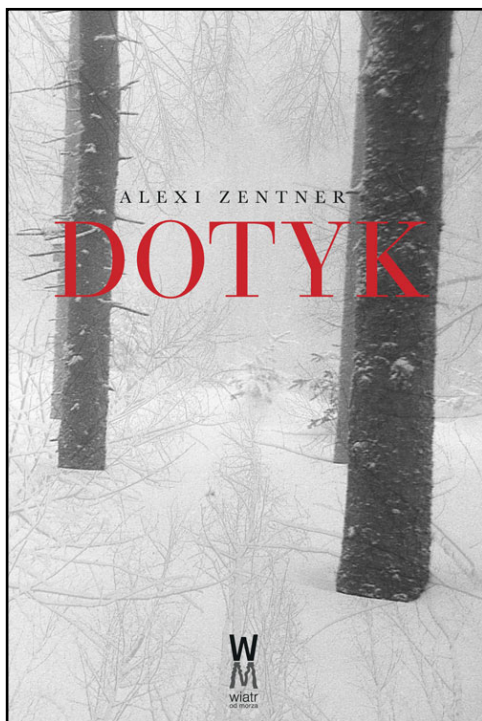


kształtów. We wspomnieniach Stephe-  
na spotykamy ludzi twardych i nieugię-  
tych, którzy z ogromnym poświęceniem  
oswajają kanadyjską puszcę. Muszą się  
trzymać razem i wsłuchiwać się w jej  
szepty. Puszcza nęci obietnicami, pod-  
daje próbie, wymierza sprawiedliwość.  
Strony wypełniają zmiennokształtni,  
duchy i inne nadnaturalne byty rodem  
z opowieści starych Indian. „To, co piszę,  
nazywam realizmem mitycznym, ponie-  
waż realizm magiczny zbyt silnie jest  
utożsamiany z Marquezem i Ameryką  
łacińską. Myślę, że to, co tworzę, jest  
równie magiczne, jednak piszę w wy-  
raźnie północnoamerykańskim stylu”  
– w jednym z wywiadów tłumaczył Ale-  
xi Zentner. W swojej twórczości skupia  
się na uczuciach ludzi, wystawianych  
na próbę przez bezlitosną, kanadyjską  
przyrodę. Poszukiwacze złota przynoszą  
ze sobą marzenia o bogactwie, własnym  
miejscu na ziemi, ale również cywiliza-  
cję. A puszcza nie ustępuje tak łatwo.  
Zjawiska nadprzyrodzone z głębi lasu  
przypominają człowiekowi, że od zguby  
dzieli go tylko jeden nieostrożny krok.

Postęp i zmiany wdzierają się do  
Sawgamet z siłą równą zaciekłości,  
z jaką jej mieszkańcy walczą o każdą ko-  
leijną wiosnę. Paradoksalnie, ale będąc  
świadkiem przemijania starego świata,  
zaczynasz do niego tęsknić. Wraz z nim  
odchodzą również ludzie, którzy kiedyś  
byli nieodłączną częścią Twojego życia.

**Dotyk** jest pięknie opowiedzianą hi-  
storią o sile woli przetrwania, miłości  
i przemijaniu. Wątki fantastyczne będą  
stanowić wspaniałą ucztę dla czytelników,  
którzy podobnie jak ja chcieliby wierzyć,  
że rzeczywistość taka właśnie jest – pełna  
magii. Tej rodem z dawnych wierzeń, jak  
i magii płynącej z ludzkich serc.

Ana Matusevič



**Alexi Zentner**

*Dotyk*

# Rebelia w bibliotece

#cenzura #poprawność

Od prac naukowych po Woltera, łącznie ponad cztery tysiące – tyle tytułów znajdowało się w ostatnim **Indeksie Ksiąg Zakazanych**. Od wieków trafiały do niego dzieła, które zostały uznane za niezgodne z doktryną katolicką. Myli się ten, kto sądzi, że zakaz czytania poszczególnych książek odszedł wraz z mrokami średniowiecza.

Książki płonęły i w XX wieku, a za drukowane słowo niezgodne z oficjalną linią partii jeszcze nie tak dawno można było trafić za kratki. Na przykład, **Folwark Zwierzęcy** Orwella był zakazany przez polską cenzurę do końca lat osiemdziesiątych. Powieść przedstawiająca ustrój totalitarny po raz pierwszy oficjalnym drukiem ukazała się dopiero w 1988 roku. Co ciekawe, książka podpadła cenzurze również w innych, bardzo odległych od Polski krajach – w Kenii została zakazana z powodu ukazania krytyki skorumpowanych przywódców, a w Zjednoczonych Emiratach Arabskich ze względu na obecność mówiących świń.

Amerykańskie Biuro Wolności Intelktualnej co roku podaje do wiadomości publicznej żądania usunięcia z półek bibliotek określonych tytułów. W ubiegłym roku organizacja otrzymała ponad 400 takich zgłoszeń. Za nieodpowiednie dla czytelnika uznane zostały m.in. **Pięćdziesiąt twarzy**

**Greya, Igrzyska Śmierci** czy nawet pewien poradnik dla kobiet w ciąży (i to nie ze względów merytorycznych, tylko z powodu powiązań o charakterze seksualnym). Jak się okazuje, przyczepić się można nawet do butelki wina w koszyku Czerwonego Kapturka. Bajka, którą większość dzieci słucha do poduszki, została zakazana w niektórych szkołach w Kalifornii.

Możemy się śmiać i żartować, ale faktem jest, że z wielu amerykańskich szkół i bibliotek usuwane są tytuły noblistów, powieści kultowe i tomiki poezji. Być może dlatego rozmachu nabiera inicjatywa Banned Books Week. W tym roku mija 40 lat, odkąd Stowarzyszenie Bibliotek Amerykańskich podjęło się organizacji spotkań i wydarzeń promujących wolność słowa. Z czasem ideę podchwyciły biblioteki w innych krajach, a od kilku lat Tydzień Zakazanych Ksiąg obchodzony jest również w Polsce. W myśl zasady, że zakazany owoc smakuje najlepiej,



w naszym kraju inicjatywa nabrała nieco innego charakteru. U nas chodzi głównie o promocję czytelnictwa, również tych książek, które w ten czy inny sposób trafiły na czyjąś „czarną listę”.

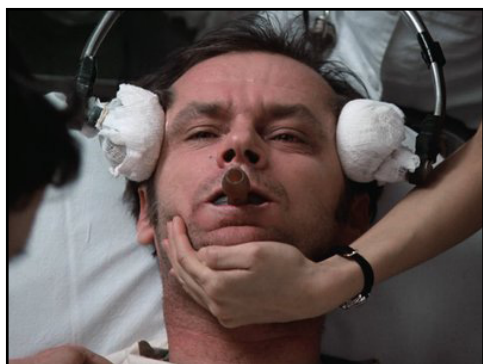
Cenzura ma wiele twarzy. W bloku komunistycznym głównym powodem niedopuszczenia książek do oficjalnego obiegu była krytyka systemu politycznego oraz jego twórców. Aleksander Sołżenicyn za **Archipelag GULag** został nawet pozbawiony obywatelstwa ZSRR i nie skończył na Syberii jedynie dzięki temu, że był znany zachodnim działaczom i zniknięcie pisarza mogło wywołać zbyt wiele pytań. Dziś książki z półek bibliotek znikają najczęściej z powodów religijnych, w imię obrony moralności i ochrony podatnych na wpływ młodych umysłów. Przykłady można mnożyć. Wieczór trzech króli Szekspira został wykreślony z programu nauczania w New Hampshire ze względu na ukazywanie homoseksualizmu jako pozytywnego stylu życia. Zwrotnik Raka Millera został uznany za obrazoburczy i z uwagi na zbyt śmiałe wątki erotyczne zakaz publikacji powieści w USA został zniesiony dopiero po 27 latach. Pornografią nazwano także **Lolite** Nabokova i początkowo była trudno dostępna w Anglii, Argentynie i Nowej Zelandii.

Wulgarny i obraźliwy język był powodem usunięcia z licznych bibliotek m.in. **Mechanicznej pomarańczy** Burgesa, **Paragrafu 22** Hellera, a nawet **Przygód Hucka Finna** Twaina. Narzędziem szatana okrzyknięto **Rzeźnię numer 5** Vonneguta oraz serię o Harrym Potterze. Za bluźnierstwa wobec islamu w **Szatańskich wersetach** jego

autorowi, Salmanowi Rushdiemu grozi śmierć, a powieść zakazana jest w kilkunastu krajach.

Paradoksalnie, duża część zakazanych dzieł jest równocześnie uważanych za jedno z najlepszych powieści XX wieku. Wyszły spod piór noblistów, laureatów Pulitzera, są to tytuły wielokrotnie ekranizowane. **Buszujący w zbożu** Salingera, choć znajduje się na liście stu najlepszych książek stulecia według tygodnika Time, budzi największe kontrowersje. Wydana w 1951 roku jako powieść dla dorosłych, obecnie jest jedną z lektur licealnych w krajach anglojęzycznych. Jednak przez ponad dwadzieścia lat, ze względu na wulgarny język i buntowniczy tryb życia głównego bohatera, nie miała wstępu do amerykańskich szkół i bibliotek.

Wydając **Władcę much** Williamowi Goldingowi nawet przez myśl nie przeszło, że jest to początek jego drogi do literackiego Nobla. Cieszył się, że powieść w ogóle ujrzała światło dzienne, gdyż odmowną odpowiedź otrzymał od co najmniej dziesięciu wydawnictw. Z czasem powieść została doceniona za wnikliwą analizę mechanizmów społecznych, prowadzących do narodzin tyranii. Przepelniona symbolami opowieść o grupie młodych chłopców, którzy w wyniku katastrofy samolotu trafiają na bezludną wyspę, jest jedną z najczęściej krytykowanych przez czytelników książek. Kontrowersyjny pogląd autora w kwestii natury ludzkiej jest na tyle oburzający, że wielokrotnie domagano się usunięcia **Władcy much** z amerykańskich bibliotek. Na taki krok zdecydowały się szkoły



**W 1975 r. Jack Nickolson zagrał głównego bohatera w *Locie nad kukułczym gniazdem*.**



***Władzę much* ekranizowano dwa razy. Filmem z 1963 r. publiczność była zbulwersowana.**

we Florydzie oraz Nowym Jorku. Pod adresem Goldinga padają oskarżenia o nadużywanie przekleństw, obraźliwy stosunek do mniejszości, Boga, kobiet i osób niepełnosprawnych.

Znany z burzliwej biografii Ken Kesey prawdopodobnie bardzo się ucieszył, gdy jego ***Lot nad kukułczym gniazdem*** otrzymał zakaz wstępu do wielu amerykańskich szkół. Zamieszanie wokół książki było ogromne, uznano, że opisami brutalnych praktyk w szpitalu psychiatrycznym autor przyczynia się do zepsucia młodzieży. Natomiast fabuła, w której główny bohater sprzeciwia się niesprawiedliwości oraz próbuje uświadomić innym wartość wolności, gloryfikuje działalność przestępczą i nawołuje do łamania zasad.

John Steinbeck, kolejny noblista, naraził się paroma swoimi książkami. Obie są osadzone w realiach wielkiego kryzysu gospodarczego w USA i oparte są na doświadczeniu autora, który początkowo zbierał materiały do badań i artykułów o migrujących

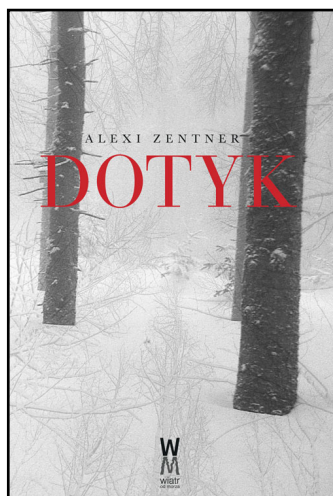
pracownikach, a potem sam pracował przy zbiorach i mieszkał w obozach, budowanych przez wycieńczonych do granic możliwości pracowników. ***Gro-na gniewu*** wywołały chyba najbardziej skrajne emocje. Powieść była krytykowana zarówno przez prawicę, jak i lewicę, środowisko finansistów, nawet prasę. Zakazano ją w kilku stanach, organizowano nawet publiczne palenie egzemplarzy tej książki. Jednocześnie powieść stała się bestsellerem, a w bibliotekach, gdzie była dostępna, ustawiły się kolejki do jej wypożyczenia.

Kto by się spodziewał, że biblioteka stanie się zarzewiem czytelniczej rebelii. Ale wygląda na to, że popularyzacja Tygodnia Zakazanych Książek doprowadzi do tego, że coraz więcej czytelników sięgnie po gdzie indziej zakazane tytuły. Niech żyje czytelnicza rewolucja.

Ana Matusevič







# fragment

**Alexi Zentner**

*Dotyk*

tłum. Karol Chojnowski

wyd. Wiatr od morza

Nie zabrali ze sobą wiele. Rebecca zapakowała im trochę smażonego kurczaka zawiniętego w papier, a do tego ciastka i herbatniki, natomiast Jeannot zabral swoją strzelbę. Słońce już przegnało poranny mróz i dziadkowie włożyli lekkie letnie ubrania, które przeczyły kalendarzowi. Wiosłowali w górę rzeki, aż rozbolały ich barki i ramiona. Ze względu na prąd poruszali się wolno, o połowę wolniej, niż gdyby szli spacerkiem. Kilka razy wyciągali kanu z wody i przenosili, aby ominąć progi rzeczne, po czym spuszczały łódkę z powrotem, gdy rzeka się rozszerzała. Po kilku godzinach zatrzymali się na posiłek, osadzając czołno na żwirowej ławicy. Odłożyli trochę ciastek, a resztki kurczaka dali Flaireuowi. Po posiłku pies zasnął na słońcu.

Rzeka płynęła wolno i szumiała z cicha. Jeannot usiadł na żwirze, oparł się o łódź i zamknął oczy, Martine zaś zdjęła ubranie i pływała w rzece. Pozwalała unosić się prądowi, a jej długie włosy ciągnęły się za nią. Trzykrotnie podryfowała z biegiem rzeki, podpłynęła do brzegu i wróciła do Jeannota. Patrzył na nią, zwracając uwagę na to, jak słońce

zdawało się błyszczeć na złotym łańcuszku wtopionym w jej skórę. Wreszcie, gdy go zawołała, dołączył do niej w zimnej wodzie.

Bawili się, zanurzając się nawzajem pod wodą, nurkując, by dotknąć dna, pozwalając się unieść łagodnemu prądowi szerokiej, leniwej rzeki. Chociaż Jeannot mówił mi, że tylko pływali, wyobrażam sobie, że po jakimś czasie pływanie – podobnie jak wiele innych sytuacji – skłoniło nowożeńców do pocałunków, a pocałunki do kochania. Dziadek stał pewnie w wodzie do połowy tułowia i trzymał Martine, a prąd z wolna nimi kołysał. Nawet mięśniom Jeannota, obolałym od pływania, Martine musiała się wydawać nieważka. Gdy skończyli, trwali w bezruchu; Martine wciąż oplatała Jeannota, a jego głowa spoczywała na ramieniu żony.

Czy tylko pływali, czy też robili coś więcej, nie wiem; dziadek mówił mi, że kiedy tak obejmował żonę, ta zaczęła zasypiać, aż wtem usłyszała, że Jeannot wydał stłumiony okrzyk. Chciała coś powiedzieć, lecz dziadek wyrwał rękę z wody

i lekko dotknął jej ust. Martine w ciszy odwróciła się i spojrzała na brzeg.

Flaireur spał zwiniey w kłębek pod łódką, mimo że zaledwie kilka kroków od niego stał karibu. Renifer był ogromny. Z miejsca, w którym dziadkowie stali spleceni w rzece, zwierzę wyglądało na bez mała sześć stóp w kłębie i było, lekko licząc, o stopę wyższe od jakiegokolwiek karibu, jakiego dotąd widzieli. Było też ciężkie. Być może ze względu na opóźnione nadejście chłódów rykowisko jeszcze się nie zaczęło i ten byk nie zdążył stracić swoich zapasów tłuszczu. Bardziej jednak uderzające od rozmiarów karibu było to, że wyglądał, jakby był z litego złota. Gdyby nie zrobił w tej chwili kroku naprzód, Jeannot i Martine gotowi byliby uwierzyć, że to jakiś postawiony nie na swoim miejscu posąg.

Karibu podszedł do psa, lecz ten się nie zbudził. Słońce odbijało się od złotej sierści karibu, od jego poroża, od racic.

– Chyba nawet jego kości są ze złota – dziadek szepnął do Martine. Jego słowa przerwały ciszę, w której pograżyła się para. Jeannot ostrożnie postawił Martine na dnie i zaczął powolutku wychodzić z wody. Oczy biegały mu od strzelby, która leżała w kanu, do złotego karibu, który stał ledwie kilka kroków od łodzi.

Karibu podniósł wzrok na Jeannota, ale zwierzę nie okazało ani zaskoczenia, ani lęku, kiedy dziadek zbliżał się do niego równym krokiem. Gdy Jeannot szedł naprzód, karibu odwrócił się i postąpił kilka kroków w stronę lasu, by następnie zatrzymać się i obejrzeć. Jeannot zamarł, spodziewając się, że zwierzę rzuci się do ucieczki, lecz złoty karibu potrząsnął łbem i zrobił kilka kolejnych kroków, by potem znowu się zatrzymać.

Jeannot sięgnął po strzelbę, ale Martine, która zakradła się za plecami męża,

dotknęła lekko jego nadgarstka i Jeannot zamiast strzelby chwycił jej rękę. Powoli i ostrożnie poszli razem za reniferem. Wciąż byli nadzy, a woda błyszczała na ich ciałach w południowym słońcu. Gdy ruszyli w las, Jeannot rzucił za siebie spojrzenie i zobaczył, że Flaireur nadal spokojnie śpi.

Dziadkowie szli przez puszcę śladem karibu. Zrazu niepewni i poważni, wkrótce zaczęli to traktować prawie jak grę. Gdy zagłębili się w knieję tak daleko, że docierało do nich tylko rozproszone światło – jakby szli przy blasku księżyca – zdążyli już zapomnieć o potrzebie zachowania ciszy. Ścieżka, którą podążał karibu, była kręta, ale szeroka, a ziemia i opadłe liście były cały czas miękkie pod ich stopami. Jeannot spostrzegł, że pnienie i zarośla w pobliżu szlaku mieniły się od złotego pyłu; zastanawiali się, czy to las rodzi własne złoto, ale potem zdali sobie sprawę, że to najwyraźniej karibu zrzuca swoje złoto po drodze. Powietrze było gęste od tego pyłu, a nieliczne promienie słońca, które przechodziły bez przeszkód przez baldachim liści, jawiły się jako złote włócznie.

Karibu szedł przed nimi – odpowiednio wolno, by mogli nadążyć, ale też dostatecznie szybko, by być ciągle poza ich zasięgiem, bez względu na to, ile by go nawoływali. Nie próbowali go gonić. W leśnej ciszy – zakłóconej tylko stukotem jelenich racic – było coś, co wywoływało w nich nabożny szacunek. Po chwili zaczęli już zapominać, dlaczego ruszyli za karibu. Trzymając się za ręce, zaczęli rozmawiać o dzieciach i o przeszłości, o czym wcześniej żadne z nich nie mówiło drugiemu otwarcie; żadne też nie spostrzegło zmiany światła ani nagłego mroźnego bezruchu, w którym pograżyło się powietrze, póki nie wyszli na polanę.

Na wprost nich czekał karibu. Drzewa tworzyły wokół polany niemal idealny okrąg. Słońce, minawszy zenit, wciąż świeciło, nie dając ciepła, a jego promienie odbijały się żywym blaskiem od olbrzymiego głązu, który zajmował środek polany. Karibu obserwował, jak Jeannot i Martine wynurzają się z lasu, a potem odwrócił się do skały i zaczął ocierać się o nią rogami oraz barkami.

Zrazu ani Jeannot, ani Martine nie rozumieli, na co patrzą, lecz po chwili wszystko stało się jasne. Karibu nie był zrobiony z litego złota. Był pokryty pyłem od żwawego ocierania się o złotą bryłę. Głaz był o kilka dłoni wyższy od karibu i wydawał się tak wielki i masywny, że Jeannotowi i Martine zdawało się, że słyszą, jak ziemia jęczy pod jego ciężarem.

Stali cicho, niezdolni się poruszyć, oczarowani i zafascynowani widokiem potężnego karibu ocierającego się o złoty głaz. Przy każdym ugodzeniu bryły porożem czy otarciem bokiem złoty pył frunął w powietrze i, unosząc się, wypełniał polanę. W świetle słońca Jeannotowi i Martine zdawało się, że znaleźli bańniowe królestwo, w którym każdy płatek złota to jeden duszek.

Karibu przestał ocierać się o głaz i zaczął drapać racicą ziemię. Przerwał, spojrzał na parę obserwatorów i znów poskrobał ziemię. Martine puściła rękę Jeannota i jakby nie mogąc się powstrzymać, przeszła te kilkanaście kroków, które dzieliły ją od karibu. Niepewnie wyciągnęła rękę i dotknęła zwierzęcia, gładząc je dłonią od pyska ku górze. Z jego sierści podniosła się chmura pyłu i osiadła na ziemi wokół. Próbowала jeszcze go pogłaskać, ale karibu cofnął się, a potem przekrzywił łeb i zamarł w takim bezruchu, który u zwierząt zawsze poprzedza ucieczkę. Dziadek ruszył do przodu i chwycił babcię za łokieć,

ponieważ nagle zaniepokoiła go myśl o złośliwych duchach. Spojrzał na głaz ze świadomością, że nigdy nie ma nic za darmo.

Jednak jelenia nie przelęknęło żadne leśne lichy, tylko szczekanie Flaireura. Nagły, ostry ton głosu psa niósł się między drzewami; karibu zadrżał przez chwilę, po czym spał się i dał susa między drzewa. Zniknął tak prędko, że został po nim tylko złoty obłoczek.

Flaireur wpadł jak burza na polanę i zatrzymał się gwałtownie na widok złotego głązu. Zdawało się, że pies w ogóle nie dostrzega Jeannota ani Martine. Przykucnął przy ziemi, sierść mu się zjeżyła, ogon podkulił między nogi i zaczął wydawać z siebie głęboki, dudniący warkot. Obnażył zęby, ukazując brązowe przebarwienia u nasady kłów. Z ich ostrych końców ciekła ślina.

Jeannot i Martine poczuli, że ich nagie ciała szczypie mróz, a na ramionach dostrzają gęsiej skórki. Jeannot sięgnął, żeby dotknąć złotego głązu, a gdy wyciągał rękę, warkot psa stał się jeszcze głębszy. Wówczas Jeannot uzmysłowił sobie, że uczucie zimna nie wynikało z samego strachu; przez polanę zaczął wiać nowy wiatr niosący zimę. W tym momencie słońce schowało się za szarymi chmurami, a cienie wśród drzew pociemniały. Jeannot wziął Martine za rękę, próbując zawrócić ją w stronę lasu, tam, skąd dopiero co nadszedł Flaireur.

– A co ze złotem? – nalegała Martine, której nieskoro było do powrotu.

– Na cięciu drewna zarabiamy całkiem sporo – odparł Jeannot i mocno położył dłonie na jej ramionach. Martine wpatrywała się w męża, pocierając ramiona dłońmi, jakby nieświadoma tego, co robi.

– Ale co z... – zaczęła i urwała, patrząc na głaz.

– To jest zima – nie ustępował Jeannot. – Nadchodzi. W tej chwili. Nie mamy czym rozpalić ognia, nie mamy ze sobą ubrań, a to, co jest w kanu, nie wystarczy do spędzenia nocy w puszczy. Zaznaczę to miejsce, wrócimy tu.

Zagwizdał na psa i Flaireur przerwał warczenie.

Jeannot trzymał Martine za rękę, ciągnąc ją za sobą przez las i podążając za Flaireurem. Oboje byli zdumieni, gdy po zaledwie kilkuset stopach drogi wydostali się na żwirową plażę przy łodzi. Jeannot wyjął nóż i zaznaczył dwa drzewa na brzegu.

– Dość łatwo będziemy mogli odnaleźć tę polanę – stwierdził. – Lepiej wrócimy tu jutro, odpowiednio ubrani, albo nawet zaczekajmy do wiosny. Głaz nie ucieknie. Jeśli zamrozimy na śmierć, złoto na niewiele nam się zda.

Gdy stali nadzy na brzegu rzeki, czuli się, jakby nagle zostali zanurzeni w zimie. Mróz na szybach tego ranka nie był błahostką, lecz ostrzeżeniem, że lato nadużyło gościnności. Niezależnie od tego, w co chcieli wierzyć poszukiwacze złota i osadnicy z Sawgamet, nadciągał mróz. Temperatura spadała z minuty na minutę, gdy dziadkowie wkładali swoje lekkie ubrania. Spuścili łódź na wodę; Flaireur siedział pośrodku niczym król, jakby był przyzwyczajony do tego, że przewozi się go wodami Sawgamet. Jeannot zagłębiał wiosło w wodzie z zaciętym pośpiechem, Martine jednak obejrzała się w stronę brzegu, a gdy to zrobiła, zdało się jej, że dostrzegła błysk złota: poroże karibu sunącego między drzewami na skraju lasu.

Gdy plaża była jeszcze w zasięgu wzroku, spadło kilka pierwszych płatków śniegu, sporych i ciężkich. Gdyby Jeannot i Martine byli ubrani na mróz i znajdowali się bliżej domu, zachwyca-

liby się miękką czystością padającego śniegu. Gdy wiosłowali, wiatr przybrał na sile i pchał ich szybciej, ale też burzył wodę, a ich samych wyziębiał. Jeannot widział, że ręce Martine bieleją z zimna.

To było – mówił dziadek, kiedy opowiadał mi tę historię – jak płynięcie poprzez sen. Mokry śnieg snuł się ciężko w powietrzu, wydawał się niemal zawieszony, a Jeannot i Martine czuli się, jakby przepływali przez kolejne kurtyny bieli – śnieg otwierał się przed nimi, za nimi zaś zamykał. Flaireur rychło pokrył się warstwą śniegu i – jakby był posągiem, a nie żywym psem – trwał w bezruchu, pozwalając, by śnieg przylepiał się do niego, aż zamienił się w marmur. Energetyczne wiosłowanie chroniło Jeannota i Martine przed pokryciem się aż tak grubą warstwą śniegu, wszakże płatki składały się bardziej z wody niż z lodu, więc przy każdym pociągnięciu wiosła niejako wylewało się na nich wiadro wody. Martine zaczęła szczerkać zębami z zimna.

Śnieg zbierał się na dnie łodzi. Od czasu do czasu Martine przerywała wiosłowanie i najlepiej jak potrafiła oczyszczała kanu. Wiosłowali przez ponad godzinę; w miarę jak Martine wiosłowała coraz wolniej, Jeannot wiosłował coraz mocniej. Od ślubu podejmował niewiele zajęć wymagających autentycznego wysiłku, ale czuł, jak wracają mu siły, jakby te, które traciła Martine, wstępowały w niego. Nie odpuści, nie zmęczy się, dopóki Martine nie będzie znowu bezpieczna. Jego wiosło wbijało się w wodę, a łódź zdawała się płynąć z wiatrem i prądem tak chyżo, że ledwie dotykała powierzchni. Dystans, który z rana pokonywali z trudem, teraz umykał szybko.

Wtem Jeannot zorientował się, że wszystkie jego starania były daremne, że nie musi już dłużej wiosłować. On



i Martine umarli. Wokół nich unosiły się anioły.

Stłumione światło jęło przechodzić w ciemność, wiatr opadł. Jeannot przestał wiosłować, pozwalając, by kanu dryfowało przez tumany i kurtyny śniegu. Martine opadła na siedzisko, jakby nieświadoma własnego zgonu, ale Jeannot przyglądał się aniołom, które pojawiły się obok łodzi. Nie spodziewał się, że pójdzie do nieba, lecz uznał, że póki tu jest, powinien okazać należną cześć i napawać się cudem, który się przed nim jawił.

Każdy mijany anioł wyglądał, jakby metodycznie tańczył: sięgał w dół, potem w górę, a następnie pchał i ciągnął albo kołysał ramionami, zataczając łagodne koła. Jeannot widział tylko na bardzo krótką odległość, a prąd sprawiał, że każdego anioła mijali bardzo szybko, w związku z tym Jeannot mógł rozróżnić jedynie niektóre detale: szaty aniołów, które wyglądały jak zrobione ze śniegu, brak skrzydeł czy aureoli, przewagę postaci brodatych.

Dopiero kiedy do jego osłabionych wiatrem uszu dotarły głosy, Jeannot uświadomił sobie, że nie widzi aniołów, lecz poszukiwaczy złota stojących w kaloszach w rzece i płuczących złoto, pomimo że zaczął sypać śnieg. Byli prawie w domu.

Jeannot podniósł wiosło i poprowadził kanu wokół zakrętu i dalej, do brzegu. Nawet nie wyciągał łodzi z wody. Flaireur wyskoczył z kanu z pluskiem, szczerząc radośnie i zniknął w bieli, Jeannot tymczasem zwyczajnie wszedł do płytkiej wody, nie zauważając, że jest lodowata i przesiąka mu przez buty. Nie dbał o to. Wziął Martine na ręce i tuląc ją w ramionach, puścił się biegiem w stronę domu. Za jego plecami pozbawiona ciężaru łódź dryfowała w siną dal.

Zapadły zupełne ciemności, a śnieg wciąż sypał między drzewami. Jeannot musiał zaufać ścieżce i szczerkaniu Flaireura na przedzie. Drzewa były bliskie i groźne, a stopy Jeannota ocieślały od zimnego ognia. Kilka razy się potknął. Zdawało mu się, że poczuł woń gnijącego mięsa. Pomimo zimna poczuł drażniące ciepło na karku, jakby z gęstwy zarośli obserwowały go zwierzęta. Martine była nieznośnie lekka w jego ramionach, ale i tak molił się, podchodząc zboczem od strony rzeki. Z wysiłku zaczął się poćić, jednak Martine była w dotyku boleśnie zimna. Jej usta się poruszały, jakby mówiła, ale Jeannot nie słyszał nic poza szelestem śniegu.

Gdy wyszedł na polanę, nagle zapadła cisza, śnieg przestał na chwilę padać. Dom stał przed nimi, świecąc tak jasno, że przez moment Jeannotowi zdawało się, że to pożar. W każdym z okien, które tak drogo z Martine kupili i sprowadzili do Sawgamet, Rebecca postawiła lampę naftową. Wyglądało to tak, jakby zapaliła wszystkie świece w domu. Być może innego dnia Jeannot zatrzymałby się, aby chłonąć gorejący blask domu, jakby to była latarnia wskazująca drogę wśród śniegów, jakby stał u wrót ocalenia – ale niosąc Martine na rękach, Jeannot się nie zatrzymywał. Wpadł przez drzwi i pobiegł w głąb domu, nie kłaniając się nawet Franklinowi, który siedział na kanapie obok Rebeki. Zaniósł babcię po schodach na górę, ściągnął z niej ubranie i sam, również nagi, wśliznął się pod pierzynę; jego ciało miało być pochodnią, od której babcia na nowo się zapali.